

**BARBARA CONKLIN**

**P. S. KOCHAM CIĘ**

## WSTĘP

W rogu mojego pokoju stoi kremowobiała toaletka, przybrana biało - żółtymi falbanami z organdy. Uszyłam je dawno temu, ręcznie, zanim jeszcze mama kupiła wielofunkcyjną maszynę, która potrafi wszystko.

Toaletka ma trzyczęściowe lustro, i kiedy ustawię skrzydła pod odpowiednim kątem, przeglądam się w potrójnym odbiciu, z różnych stron. Przez szesnaście lat oglądałam w tym lustrze, jak rosnę, a kiedy czasami patrzyłam w nie uważnie, zdawało mi się, że widzę nie tylko swoje ciało, ale i wewnątrz, własną duszę, którą znam tylko ja.

Najważniejszy w toalecie wcale nie jest kremowobiały gładki blat, nie chodzi również kaskady ręcznie szytych falbanek, nawet nie o trzyczęściowe lustro, ale o błyszczącą żółtą nalepkę na zderzak samochodowy, z napisem „P.s. Kocham cię”.

Palm Springs jest bardzo dumne z tej nalepki. W Kalifornii można ją zobaczyć na wielu samochodach. Pamiętam, jak strasznie protestowałam przeciwko wyjazdowi do Palm Springs tego lata. Kiedy, skończyłam szesnaście lat. Teraz wiem, że gdybym tam wtedy nie pojechała, nie poznała Paula, nigdy nie doświadczyłabym ogromnej radości, jaką przyniosła mi miłość do niego, nie zaznałabym bólu utraty...

## ROZDZIAŁ 1

Amy Iverson czekała na mnie niecierpliwie na stopniach przed wejściem do szkoły. Jej okrągłą zaczerwienioną buzię okalały długie kosmyki ciemnych włosów, zwisające niczym sznurki mokrego mopa. Oddychała tak ciężko, że zaparowały jej szkła okularów. W spoczonej dłoni ścisnęła wąską brązową kopertę i wymachiwała nią gwałtownie w moją stronę. Dzień był wyjątkowo upalny i wilgotny, powietrze martwe i bezwietrzne. Widok przyjaciółki przypomni mi o lejącym się z nieba żarze. Miałam ochotę natychmiast zanurzyć się w oceanie.

- Udało się! - krzyknęła, kiedy pobiegłam do niej, przeskakując po dwa stopnie na raz. - Dostałyśmy się!

- Myślałam, że się już nie doczekam - powiedziałam odgarniając wilgotne włosy z karku w nadziei, że się trochę ochłodzę. - Na szczęście puścili nas przed lunchem. - Otarłam spoczone czoło chusteczką.

Uszczęśliwiona, że jesteśmy w końcu licealistkami, zbiegłam ze schodów. Może wreszcie TO się zdarzy. Przytrafiało się przecież innym dziewczętom, których wcale nie uważałam za szczególnie atrakcyjne. Wierzyłam, że chłopcy z większym zainteresowaniem patrzą na dziewczyny ze szkoły średniej. Zacznę umawiać się do kina, na plażę, ktoś będzie zapraszał mnie na koktajle mleczne do małego barku przy Pacific Coast Highway, w końcu wiosną pójdziemy razem na fuksówkę.

Będzie wspaniale. Tydzień wcześniej skończyłam szesnaście lat. Byłam w ogólniaku, miałam przed sobą wakacje. Mnóstwo czasu, by zrobić coś, z czym nosiłam się od dawna. Chciałam napisać romantyczną powieść i jeszcze przed maturą zostać sławną pisarką. Widziałam już oczyma duszy, jak przez całe lato będę pisać na swojej ukochanej skale

nad oceanem. Zanim zacznie się rok szkolny, skończę powieść i wyślę ją do jakiegoś znanego wydawnictwa. Po kilku tygodniach oczekiwania wydawca przyśle wspaniały kontrakt i tak zacznie się moja kariera! Kiedy przejdę do drugiej klasy, nie będę mogła opędzić się od chłopaków marzących o randce ze sławną pisarką.

Zatrzymałyśmy się z Amy na ostatnim stopniu i rzuciłyśmy się sobie w objęcia, po czym ruszyłyśmy biegiem po trawiastym zboczu wzgórza w dół, ku łąkom Talbotów. Tędy było bliżej do domu, a nam było pilno, by wreszcie zacząć wakacje.

- Naprawdę masz zamiar napisać tego lata powieść, Marian? Pamiętam, że to samo mówiłaś rok i dwa lata temu...

Zanurzyłam twarz w zielonożółtych trawach i uśmiechnęłam się. Poczułam rozkoszny dreszcz przenikający mnie od stóp od głów. Odwróciłam się na plecy i oparłam na łokciach.

- Oczywiście. To będzie wybitna książka - obiecałam Amy. - Jak powieści Rosemary Rogers.

Kathleen Woodiwiss. Denise Rogers albo nawet Fiony Harrowe. Będzie tak wspaniała, że wydawca pomyśli może, że napisała ją któraś z nich, pod pseudonimem. A może, kto wie.

Może ktoś zechce nawet nakręcić film na jej podstawie?

Amy aż podskoczyła, oczy jej błyszczały.

- Film, och, Marian - pisnęła, ale zaraz się zafrasowała. - Ale czy będą chcieli ją przeczytać, kiedy się dowiedzą, że masz dopiero szesnaście lat i nie skończyłaś jeszcze ogólniaka?

Westchnęłam, zniecierpliwiona i pełna niesmaku wobec ignorancji Amy.

- Ależ, Amy, nikt nie musi wiedzieć, że mam dopiero szesnaście lat.

- Strząsnęłam z dzinsów zabłąkaną biedronkę.

- Dowiedzą się prędzej czy później. - Amy wstała. Kiedy na jej ramieniu wylądowała czerwona biedronka, otrząsnęła się przestraszona. Wybuchnęłam śmiechem.

- To tylko biedronka. Zanim dojdą, ile mam lat, zdążę podpisać kontrakt. A zresztą, będą zachwyceni, kiedy się okaże, że książki ich protegowanej są bestsellerami.

Ruszyliśmy w stronę domu. Niepewna, czy Amy wie, co znaczy „protegowana”, oczekiwałam, że mnie o to zapyta, ale milczała. Wreszcie zgrzane stanęliśmy przed jej domem, dużą kamienno - ceglana budowlą, obrośniętą różową bugenwillą. Marzyłam o kąpiel w oceanie.

Pożegnałam się z przyjaciółką i ruszyłam w stronę ruchliwej ulicy. Nie miałam ochoty iść tedy, ale nie uśmiechało mi się nadkładać drogi bocznymi uliczkami.

- Poczekaj! - zawołała Amy i dogoniła mnie uśmiechnięta. Włożyła okulary, które zdjęła podczas biegu przez łąkę. Patrzyła zza grubych soczewek, jakby chciała wyczytać coś w mojej twarzy. - Czytałam trochę romansów - szepnęła i rozejrzała się, chociaż wokół nie było żywej duszy. - Czy w twoim też będą soczyste opisy? No wiesz, opisy kobiet z dużymi, falującymi piersiami?

Kopnęłam mały kamyk: wylądował na środku jezdni. - Jeśli akcja będzie tego wymagała, będę musiała odwołać się do źródeł, sprawdzić, jak autorki radzą sobie w takich przypadkach, wiesz...

- A sceny miłosne? - dopytywała się z całą powagą.

- To potrafię - odparłam jej z przekonaniem.

Uśmiechnęła się i raz jeszcze pomachałyśmy do siebie na pożegnanie. Ruszyłam do domu już mniej pewna siebie niż przed chwilą. Czy rzeczywiście potrafię? Nie mam przecież żadnego doświadczenia.

Amy i ja byłyśmy bardzo nieśmiałe. Może to nas łączyło. Potrzebowałyśmy siebie nawzajem.

Amy zamartwiała się, że jest za gruba. Ja tak nie uważałam, ale w tym wieku każdy zbędny kilogram to straszny problem. Amy robiła wszystko, żeby chłopcy ją zauważali i się z nią umawiali. Marzyła, by któryś zaproponował jej przynajmniej przejażdżkę motorynką albo samochodem. Próbowwała poskramiać swoje niesforne włosy, ale starannie ułożone rano. Koło południa zwykle wisiały już w strąkach. Machała ręką, po czym ściągała je gumką w kitkę na karku. Nic się jej nie udawało.

Ja miałam trochę inny kłopot. Nie umiałam się uśmiechać. W obecności chłopców na mojej twarzy nie pojawiał się uśmiech. Mogłam zaśmiewać się, pokładać ze śmiechu w towarzystwie dziewcząt, ale kiedy w pobliżu pojawiał się chłopak, natychmiast sztywniałam, mięśnie twarzy tężały, szczęki się zaciskały. Takie oblicze pokazywałam chłopcom.

Dorośli też uważali, że jestem bardzo poważna, ale ciągle powtarzali, jaka jestem ładna i jakie mam śliczne oczy. Prawdę mówiąc lubię sprawiać wrażenie osoby „głębokiej i tajemniczej”, ale małolaty sądziły zapewne, że jestem ponurakiem. W każdym razie chłopcy.

Jestem też moim książkowym i naprawdę interesujący chłopcy myśleli widocznie, że nic mnie nie obchodzi. Mówiono nawet, że na widok chłopaka robię znudzoną minę.

Nie mam problemów z nauką i uwielbiam czytać wszystko, co wpadnie mi w rękę. Od dwóch lat myślę tylko o swojej powieści i to tym,

żeby zostać sławną pisarką. Może wtedy zainteresuję się bliżej jakimś chłopakiem.

Amy musi naprawdę pracować na dobre stopnie, ale nie jest tępa. Ona też, jak ja, ma świadomość, że życie przechodzi nam koło nosa, a nikt nie zaprasza nas na randki. Jak mam pisać o romantycznej miłości, skoro sama dotąd jej nie przeżyłam?

Kiedy skończyłam czternaście lat, przestałam pisać czekając, aż nadejdzie wielka przygoda.

Ile jednak można czekać? Tego lata napiszę wreszcie powieść, nawet, jeśli nie będzie to romans.

- Moja wyobraźnia musi sobie z tym jakoś poradzić - powiedziałam na głos i kopnęłam kamyk leżący na środku jezdni.

Nogi niosły mnie same ścieżką, którą przemierzałam codziennie, od kiedy chodziłam do szkoły. Rozsunęłam gałęzie oleandra i precisnęłam się między nimi. Przywitał mnie słony zapach oceanu. Byłam w domu.

Mieszkam na szczycie skalistego, stromeego wzniesienia. Z każdego niemal pokoju widać ocean, wieczny taniec odpływów i przyływów; dalej rozpościera się widok na miasteczko Laguna Beach. W dzień można dojrzeć setki rozsianych na wzgórzach i skałach domów - w stylu hiszpańskim, staroangielskim, rustykalnym, z patio i oknami zwróconymi ku morzu. Są też motele, hotele, restauracje i małe galerie z wytworami lokalnych artystów. Nocą wybrzeże zamienia się w pas czarnego aksamitu, usiany jarzącymi się, niczym małe klejnoty, światłami.

Mogę patrzeć na ten widok bez końca.

Otworzyłam drzwi i pobiegłam prosto do swojego pokoju. W pośpiechu zrzuciłam przepecone ubranie. Włożyłam mój ulubiony żółty

kostium kąpielowy i ruszyłam na plażę.

Z mojej skały poderwały się z gniewnym krzykiem mewy, obrażone, że je przepłoszyłam i że muszą szukać innego miejsca. Od lat tutaj przychodziłam i nie mogłam zrozumieć, dlaczego dotąd nie nabrały do mnie zaufania. Może zbyt często się zmieniały.

- Wszystkie wyglądacie podobnie! - krzyknęłam w ich stronę zastanawiając się, czy i one mają ten sam problem z rozpoznawaniem ludzi.

Skała była wyśmienitym miejscem do rozmyślań, a ja miałam wiele do przemyślenia.

Wyobrażałam sobie, że większość autorek romansów mieszka w uroczych zakątkach, gdzie obmyślają fabułę swoich książek. Przynajmniej tu los mi sprzyjał.

Przyjaźniłam się z Amy, odkąd sięgam pamięcią, ale nawet jej nie zwierzałam się ze wszystkiego. Nie rozmawiałam z nią o odejściu mojego ojca, nie opowiadałam o odpowiedziach odmownych z czasopism, do których wysyłałam opowiadania. Pisałam też wiersze, ale i one nie spotykały się z uznaniem.

W końcu doszłam do wniosku, że opowiadania i wiersze to nie moja działka. Po przeczytaniu kilku romansów uznałam, że zrealizuję się w tym właśnie gatunku literackim. Romanse są wspaniałe, można je dostać wszędzie, nawet w supermarketach, więc mniej więcej od roku kupowałam je, przy okazji zakupów dla matki. Teraz, kiedy zdobyłam już prawo jazdy, zdarzało się to coraz częściej.

Romanse to na ogół grube książki w miękkich okładkach, przedstawiających wspaniałe, namiętne sceny - naprawdę warte są



pieniędzy, które trzeba wydać. Moja szafa była już tak nimi wypełniona, że nie mieściły się w niej buty.

Miałam zeszyt, w którym szkicowałam plan swojej powieści. Na pierwszej stronie napisałam „Egzotyczne miejsce”. Akcja powinna się toczyć w jakimś tajemniczym, podniecającym miejscu, gdzieś daleko, gdzie czytelnik nigdy nie był, tak by można zmyślać detale i trochę blefować.

Dalej, potrzebna jest bohaterka, dziewczyna o zachwycającej figurze, niewinna i nietknięta.

To bardzo ważne, bo kiedy wreszcie traci niewinność, czytelnik musi przy tym być.

Bohaterka powinna przeżywać straszne perypetie. Może, na przykład, mieć okropnego ojczyma, od którego próbuje się uwolnić, popadając przy tym w jeszcze gorsze tarapaty.

Wtedy zawsze pojawia się MĘŻCZYŻNA.

Musi być przystojny i nieco oschły. Mój miał mieć kręcone czarne włosy i silne mięśnie.

Westchnęłam uszczęśliwiona, że będę z nim mogła zrobić wszystko, co mi się żywnie podoba.

Większość opowieści rozgrywa się w odległej przeszłości, ale tu mogę sięgnąć do źródeł, poszperać w książkach. Kiedy już skończę swoją książkę, odniesie, oczywiście, oszałamiający sukces: wydawca będzie domagał się następnych, a ja będę miała mnóstwo pieniędzy, które rozwiążą wszystkie domowe problemy.

Po pierwsze - mama. Jej największą pasją jest czytanie folderów, które przynosi z agencji turystycznych w Laguna Beach. Rozrzuca je po

całym domu i zawsze odkłada dodatek turystyczny zamieszczany w niedzielnym wydaniu „Los Angeles Times”.

Gdybym miała pieniądze, mogłabym opłacać jej wycieczki w różne strony świata. Urlop nie stanowiłby problemu, bo nie musiałaby już w ogóle pracować. Kupiłabym jej też nowe ubrania. Do przedszkola, gdzie jest zatrudniona, chodzi ciągle w tych samych rzeczach. To nie znaczy, że wygląda nieciekawie. Czasami próbuję przyjrzeć się jej oczami kogoś obcego, by wyrobić sobie bezstronną opinię, i zawsze dochodzę do wniosku, że mama jest wyjątkowo piękna. W nowych ubraniach na pewno powaliłaby wszystkich na kolana.

Jej włosy o barwie karmelu układają się płynnie, jak w telewizyjnych reklamach szamponów.

Jeśli zanurzyć się w nich nos, pachną niczym sklep z wonnościami.

Ma naprawdę brązowe oczy, nie tak jak moje. Moje są trochę oszukane: z odcieniem zielonożółtym. Ludzie nazywają je, zdaje się piwnymi, ale oczy mamy są całkiem, całkiem brązowe i kiedy się uśmiecha, w nich również pojawia się uśmiech. Mama nie ma piegów, więc odziedziczyłam już chyba po ojcu. Nie wyskakują jej też nigdy pryszczki na brodzie, jak mnie, chyba, że obje się czekoladą. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wymówiła słowo „dieta”, ponieważ nie musi się odchudzać.

Pieniądze odmieniłyby jej życie. Może, kto wie, na jedną z wycieczek wybrałaby się do Chicago i sprowadziła do domu ojca.

A teraz, Kim, moja sześcioletnia siostra. Jest słodka, chociaż czasami potrafi zaleźć za skórę.

Ale i tak ją kocham. Ma ogniście rude włosy, których nienawidzi, i

niewiarygodną ilość piegów na całym ciele, ale mama mówi, że znikną z wiekiem. To ważne, bo Kim, kiedy dorośnie, chce być tancerką. Już teraz dwa razy w tygodniu, po lekcjach, chodzi do szkoły baletowej.

Z pieniędzy za pierwszą książkę mogłabym opłacić lepszą szkołę, prywatną, albo nawet zafundować siostrze wyjazd do Paryża czy do Rosji. Mama mogłaby wtedy powiedzieć:

..Tak, mam dwie córki, jedna jest sławną pisarką, a druga sławną baleriną w paryskiej operze...”.

Nie przeszkadzałyby mi włosy tak rude, jak Kim, byle kręciły się równie mocno. Moje są w kolorze mysim - na dodatek w kolorze zdechłej myszy - i tak proste, że zdają się krzyczeć, kiedy usiłuję je zakręcić.

Co najbardziej podoba mi się w pisaniu, to to, że nikt nie musi wiedzieć, jak wyglądasz, kiedy czyta twoje książki.

Cóż, myślałam rozglądając się i obserwując mewy krążące nad plażą, nie mam swojego bestselleru, nie mam nawet maszyny do pisania, ale mam przed sobą całe lato. Zacznę pisać dzisiaj po południu. Przewracałam kartki zeszytu i czekałam na natchnienie, które powinno wkrótce nadejść, dając początek realizacji moich zamierzeń.

## ROZDZIAŁ 2

O topy zaczęły mnie piec i swędzić, zdjęłam więc sandały i potarłam piętami o kamienie. Mewy wróciły, uznawszy widocznie, że można mi zaufać. Nasz biały dom z niebieskimi okiennicami spoglądał na mnie z góry, ze swojej grzędy na skale. W oknie mojej sypialni na pierwszym piętrze poruszyły się biało - żółte organdyne zasłony. Pod tym względem mój pokój był wspaniały, zawsze panował tam przewiew. Był wspaniały także, dlatego, że zza biurka przy oknie roztaczał się fantastyczny widok.

Kupiłam to biurko trzy lata temu, w sklepie z używanymi meblami w Santa Ana. Było pomalowane brudną, brązową farbą; zeskrobałam ją i pomalowałam biurko na biało. Ślęczałam nad nim tak długo, aż wreszcie upodobniło się do mebelka wystawionego w sklepie z wzornictwem w śródmieściu. Czy ludzie będą kiedyś zjeżdżać do mojego domu z różnych stron, żeby zobaczyć, przy czym pisała Mariah Johnson?

Może wśród chłopaków, którzy przychodzili na naszą plażę, znajdzie się ten jeden i będzie się do mnie uśmiechał, przebiegając obok mnie, a ponieważ będzie tym jednym jedynym, bez kłopotu odwzajemnie uśmiech? Gdzieś w głębi duszy czułam, że kłopot z uśmiechaniem się do chłopców zniknie, gdy tylko pojawi się ten właściwy.

Tak, lato będzie wspaniałe! Ale nie doskonałe. Żeby było doskonałe, musiałby wrócić tata, a to niemożliwe.

Miałam dwanaście lat, kiedy między rodzicami coś zaczęło się psuć. Wieczorem starannie zamykali drzwi swojej sypialni, ale i tak słyszałam ich podniesione, gniewne głosy, a potem płacz mamy. W końcu zasypiałam niespokojnym snem, ciągle słysząc jej stłumiony szloch. Nie

wiedziałam, o co chodzi, ale pragnęłam, żeby, czym prędzej się to skończyło, żeby zdarzył się cud i rodzice zawarli pokój.

Tymczasem było coraz gorzej. Wreszcie drugiego czerwca, w dzień moich urodzin, ojciec spakował swoje rzeczy i wyprowadził się z domu. Mama długo nie wychodziła ze swojego pokoju, a kiedy próbowałam wejść tam i pocieszyć ją, nie wpuściła mnie. Czteroletnia Kim nic nie rozumiała. Odpowiadałam na jej głupie pytania w sposób okrutny, bez, cienia zrozumienia.

- Zamknij się i posprzątaj chlew w swoim pokoju - burknęłam i popchnęłam ją w stronę sypialni. - Tata wróci. Musiał nagle wyjechać...

Chyba uwierzyła. Ja sama niemal uwierzyłam we własne słowa, chociaż jeszcze długo potem byłam wściekła na ojca. że musiał wyjechać akurat w dniu moich urodzin. Nigdy już nie wrócił. Pod koniec lata nasza trójka przywykła do nowego trybu życia.

Jesienią mama zaczęła pracować w przedszkolu, gdzie opiekowała się bogatymi dziećmi; przebąkiwała o powrocie na studia pedagogiczne, chciała zrobić dyplom. Kim zaczęła chodzić do tego samego przedszkola, a ponieważ mama tam pracowała, opłata była o połowę niższa.

Od czasu do czasu przychodziły koperty z adresem ojca na odwrocie, a w nich zamiast listów czeki, które miały pomóc nam przetrwać ciężki okres. Tyle zostało mi z ojca: jego adres zwrotny i wyprawy do banku, gdzie mama realizowała czeki. Rzadko do mnie pisywał, rzadko dzwonił, w głębi duszy wiedziałam jednak, że nadal kocha mnie i Kim, tylko trudno mu to okazać.

Kim nie chciała się pogodzić ze stratą ojca. Wierciła mamie dziurę w brzuchu dopytując się bez przerwy, kiedy tata wróci. Ja miałam inne

pytanie: chciałam wiedzieć, dlaczego odszedł.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i zapytałam wprost. Kim bawiła się akurat przed domem. Mama, w pomarańczowej chustce na głowie, skończyła właśnie myć podłogę w kuchni. Pytanie ją zaskoczyło i gdybym nie działała znienacka, nie wydobyłabym z niej chyba nic.

- Zamieszkał w Chicago z kobietą, którą poznał w pracy - powiedziała ocierając pot z twarzy, Po chwili przyszło mi do głowy, że może wśród kropel potu popłynęły łzy. i zrobiło mi się przykro, że poruszyłam ten temat. Może lepiej nie wiedzieć...

Pamiętam, co powiedziałam na jej słowa:

- Mamo, czemu go nie poprosisz, żeby do nas wrócił. Powiedz mu. Że przebaczyłaś.

- On jest szczęśliwy. Nie chce wracać - odparła bezbarwnym głosem.

Nie uwierzyłam. Człowiek, który ma za żonę mamę, ma wszystko. Niemożliwe, żeby był szczęśliwy z inną.

Kiedy zobaczyłam, że mama parkuje na podjeździe pod domem, chwyciłam buty i zeskoczyłam z mojej skały. Zatrzasnęła dwa razy drzwiczki starego forda - nigdy nie zamykały się za pierwszym razem i pomachała w moją stronę, po czym krzyknęła, zbiegając ze wzgórza:

- Chodź, Mariah, pomóż mi wypakować zakupy! Mamy strasznie dużo roboty!

Byłam przy niej, zanim zdążyła wyjąć pierwszą torbę z bagażnika.

- Muszę porozmawiać z tobą i Kim - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Zamykają przedszkole na lato i...

- Ale przecież nie na zawsze! - zauważyłam, niosąc ostrożnie torbę z jajkami.

- Miałam nadzieję, że tego nie zrobią. - Westchnęła i pchnęła drzwi.

- Jeszcze w grudniu mówili, że przedszkole będzie otwarte przez cały rok. Mogłabym wtedy pracować i zarabiać przez całe lato.

- Ale my wołałybyśmy, żebyś lato spędziła tylko z nami i nie pracowała. - Miałam świadomość, że mówię jak rozkapryszone dziecko.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Chodzi o pieniądze. Mariah. Wolałabym, naturalnie, wyjechać na prawdziwe wakacje z tobą i Kim. Nie podoba mi się ta praca, ale musimy spłacać kredyt, płacić rachunki. Nie damy sobie rady, jeśli przez kilka miesięcy nic nie będę robiła.

- Ja poszukam pracy - zaofiarowałam się, głowiąc się, jak to zrobić.

- W zeszłym roku nie udało mi się, bo miałam tylko piętnaście lat.

Jutro zacznę się rozglądać.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i wpadła Kim. Sądząc po jej wyglądzie, musiała biec jak szalona.

- Dobrze, że już jesteś. Kim - przywitała ją mama. - Muszę z tobą porozmawiać.

Przeszliśmy do salonu.

- Siądźcie na chwilę, dziewczynki - powiedziała mama, odgarniając Kim włosy z czoła. - Wygląda na to, że mamy kłopoty. Nie chciałam wam nic mówić, ale trzy miesiące temu wasz ojciec miał wypadek samochodowy. Czuje się już dobrze - dodała szybko - niemniej ciężko chorował. Leżał w szpitalu, przeszedł skomplikowaną operację nogi.

Podeszła do kominka i usiadła w bujanym fotelu.

- Zwolnili go z biura.

Biedny tata. Szkoda, że nic nie wiedziałam.

Mama wstała z fotela i podeszła do okna. Uwielbia patrzeć na fale.

Kiedy się czymś martwi albo nad czymś zastanawia, wpatruje się w ocean i ten widok dodaje jej odwagi. Kiedy tak zbierała myśli, siedziałyśmy z Kim bez mchu, spoglądając na siebie w milczeniu. Po chwili mama znów usiadła.

- Ojciec nie mógł przysłać nam czeków - odezwała się cichym, zmęczonym głosem. - Nie chciałam was martwić, ale jeśli nie zdobędziemy skądś pieniędzy... możemy stracić dom.

Kim podskoczyła z piskiem przerażenia. Ja też się poderwałam. Serce zaczęło mi łomotać jak szalone.

- Co? - krzyknęłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, że zamieszkamy w innym miejscu. Oddać dom bankowi? Nie. to niemożliwe.

Mama podniosła dłoń, żeby uciszyć nasz wybuch.

- Dlatego właśnie musimy porozmawiać. Jest wyjście. Długo się nad tym zastanawiałam. Nie proszę was o zgodę. Rzecz już przesądziłam, chcę tylko, żebyście zrozumiały moją decyzję. - Jej słowa brzmiały tak, jakby ułożyła je sobie wcześniej i nauczyła się na pamięć. - Przyjęłam pracę w Palm Springs. Nasz dom wynajmiemy na lato bardzo miłej rodzinie. W tej okolicy latem za taki dom jak nasz można uzyskać wysoki czynsz.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam.

Więc nie spędzę lata w domu? Powieść, co z moją powieścią?

- Jaką pracę? - zapytałam schrypniętym głosem.

Mama uśmiechnęła się, już odprężona.

- Będzie naprawdę miło. Czeka nas przygoda. Coś nowego. Będę opiekunką domową rezydencji pewnych ludzi, którzy wyjeżdżają na



wakacje do Europy.

- Opiekunka domowa - Kim zaśmiała się i zaraz spoważniała. - Kto to jest opiekunka domowa?

Mama też się roześmiała.

- Prawdę mówiąc, ja też nigdy wcześniej nie słyszałam tego określenia, ale pani Baker z przedszkola, która znalazła mi tę pracę, mówi, że ostatnio zrobiło się to dość popularne.

Bardzo bogaci ludzie coraz częściej wynajmują kogoś, by mieszkał w ich domu. Kiedy wyjeżdżają na dłużej. W ten sposób dom jest cały czas pod ochroną. Jest zadbany.

Właściciele nie muszą się martwić, że pod ich nieobecność zdarzy się jakaś awaria. Tam, gdzie będziemy mieszkały, jest taki człowiek od wszystkiego, „złota rączka”. Wspomnieli też coś o jakimś chłopcu...

- Co to za ludzie, ci właściciele? - zapytałam, ciągle nie wierząc własnym uszom.

- Państwo Abbott - odparła mama. - James i Martha Abbott. Pan Abbott jest finansistą, właścicielem wielu nieruchomości w Palm Springs i dwóch dużych fabryk w Los Angeles.

Kim zaczęła płakać, ja też walczyłam z napływającymi do oczu łzami.

- Ja nie mogę wyjechać. - Siostra szlochała. - Judy i ja zapisałyśmy się do wakacyjnej szkoły stepowania. Wszystkie się zapisałyśmy!

Poszłam do łazienki i przyniosłam jej kilka chusteczek.

- A, kto zamieszka w naszym domu? - zapytałam, tknięta złym przeczuciem. - Komu go wynajmiemy? - Wzdrygnęłam się na myśl, że ktoś będzie spał w moim łóżku.

- To też już zostało załatwione. - Mama wstała i ruszyła do kuchni. - Miła rodzina. Kiedy decyzja zapadła, wywiesiłam ogłoszenie w pracy. Natychmiast zgłosiła się do mnie matka jednego z przedszkolaków i powiedziała, że jej siostra z Ohio bardzo by chciała spędzić lato w Laguna Beach. Przyjedzie z mężem i trójką dzieci...

- Ależ musi być jakiś inny sposób - przerwałam mamie, obserwując, jak wyjmuje sałatę z lodówki i płucze ją pod kranem. - Pomyślmy o czymś innym. Nie możemy wyjechać. To lato jest dla mnie bardzo ważne!

Mama starannie ułożyła sałatę na papierowym ręczniku, po czym spojrzała na mnie surowo.

- Mariah. od dziecka spędzasz każde wakacje na naszej pięknej plaży i w tym wygodnym domu. Proszę cię, żebyś wyjechała tylko na jedno lato. Tylko jedno lato, które pozwoli nam przeżyć tutaj następny rok. Wiesz doskonale, że nie ma innego wyjścia. - Sięgnęła po puszkę z tuńczykiem i podała mi ją. - Otwórz to - poleciła. - Więcej nie będziemy dyskutować na ten temat.

Kiedy moja mama mówi „nie będziemy dyskutować”, trzeba się z tym pogodzić. Zamilkłam, otworzyłam puszkę i uciekłam do łazienki, żeby się wyplakać.

Wycierając oczy spojrzałam w lustro na swoje odbicie. Na czole pojawiły się dwie zmarszczki, po policzkach spływały łzy. Bolały mnie wargi. Nawet zęby mnie rozboleły od zaciskania szczęk.

- Chyba nigdy się już nie uśmiechnę - powiedziałam do smutnej dziewczyny w lustrze.

### ROZDZIAŁ 3

Nie masz chyba zamiaru zabierać wszystkich tych książek. - Przebierałam właśnie powieści w mojej szafie, gdy do sypialni weszła mama.

Wyskoczyłam z łóżka jeszcze przed świtem, z nadzieją, że zdążę spakować książki, szczególnie te Susan Howatch, i zniosę pudło do bagażnika. Jeśli przykryłabym je kocem, mama nie powinna nic zauważyć. Wiedziałam, że mamy mało miejsca w samochodzie, ale w końcu są pewne priorytety.

- Chcę zrobić trochę miejsca w szafie - skłamałam. - Dla Gretelów i trójki ich dzieci. - Położyłam akcent na słowie „trójki”, mając nadzieję, że mama może jeszcze zmienić zdanie. Troje dzieci może obrócić dom w ruinę.

- To bardzo miło z twojej strony. Mariah. - Mama uśmiechnęła się. - Kiedy skończysz pakować, zjedź na dół, żeby mi pomóc. Wielkie nieba, nie zdawałam sobie sprawy, że masz tyle książek...

Na szczęście nie wie, że drugie tyle trzymam w pokoju Kim, pomyślałam, zamykając pośpiesznie drzwi szafy.

- Trzeba jeszcze odkurzyć dywan w salonie i przetrzeć podłogę w kuchni. Powinni być koło południa. Jak tylko się rozpakują, wyjeżdżamy.

Najważniejsze, żeby udało mi się przemycić książki do bagażnika. Oczywiście, mama znajdzie je po przyjeździe do Palm Springs, ale wtedy będzie już za późno. Kiedy tylko wyszła, chwyciłam pudło, które przygotowałam sobie poprzedniego wieczoru, i zaczęłam pośpiesznie pakować swoje powieści.

Ostrożnie zesłam na dół, rada, że gruba brązowa wykładzina tłumi

moje kroki, i szybko przemknęłam do samochodu.

Od czasu zeszłorocznej wyprawy nad jezioro Arrowhead wozimy w bagażniku stary niebieski ręcznik plażowy. Śmiejąc się do siebie owinęłam nim pudełko, pewna, że mama nic nie zauważy.

Po chwili byłam już w salonie i odkurzałam dywan. Właśnie kończyłam, kiedy pojawiła się mama z walizką.

- Dziękuję. Mariah. Sprawdź, czy nie zapomniałaś czegoś z ubrań. Wrócimy dopiero z początkiem roku szkolnego, więc spakuj się tak, żeby niczego ci nie zabrakło. Ale bez przesady!

Byłam już w połowie schodów, gdy usłyszałam głos mamy:

- Mariah!

Wiedziałam, co się święci. Znalazła książki. Zbiegłam na dół, do samochodu. Nie musiała nic mówić. Jeśli wzrok mógłby zabijać, powinnam paść trupem na miejscu.

Pudło trudniej było wnieść na górę niż znieść. Zastanawiałam się gniewnie, czy matka Susan Howatch była podobna do mojej. Tyle miałam do powiedzenia, do wyrażenia. Wydawcy już czekają, a moja rodzona matka to uniemożliwia.

Z ociąganiem odłożyłam zawinięte w ręcznik pudło do szafy i przygnębiona usiadłam na łóżku. W ponurym nastroju wsłuchiwałam się w szum fal rozbijających się o skały. Tak do niego przywykłam, że zazwyczaj go nie słyszałam. Docierał do mnie, dopiero kiedy się skupiałam i zapominałam o całym świecie.

Poderwałam się na odgłos podjeżdżającego pod dom samochodu. Przyjechali wcześniej!

Wiedziałam, że mama będzie niezadowolona, że nie zostawili nam

więcej czasu.

Obserwowałam przez okno, jak Gretelowie wysiadają ze swojego nowiutkiego, lśniącego thunderbirda. Samochód wypełniony był po dach pakunkami i walizkami. Na dachu tkwiła czerwona deska do surfingu, równie nowa jak samochód.

Jeśli kiedyś widzieliście w cyrku całą gromadę kłownów wysypujących się z małego samochodu, możecie sobie wyobrazić, jaki widok przedstawiali Gretelowie. Samochód nie był wcale mały, ale strasznie przeładowany. Nie mogłam pojąć, dlaczego ci ludzie potrzebują takiego mnóstwa rzeczy tylko po to, żeby spędzić wakacje w naszym domu.

Widziałam, jak mama wita się z panią i panem Gretel. Potem dostrzegłam dwóch chłopców: jeden mógł mieć sześć, drugi osiem lat, i jasnowłosą dziewczynę, mniej więcej w moim wieku, może trochę starszą.

Była jak ja chuda, ale jej figura była zdecydowanie lepsza. Podniosła głowę.

Miała jasną cerę, jak moja mama, i lekko zaróżowione policzki. Gdy odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów tańczący na wietrze, zobaczyłam jej niebieskie oczy, tak błękitne jak akwamarynowa szklana kulka, którą znalazłam kiedyś na plaży. Kiedy dziewczyna uśmiechnęła się do mnie, błysnęły lśniące białe zęby. Była bardzo ładna.

Cofnęłam się od okna. Wiedziałam, że powinnam zejść pomóc.

Po schodach pędziła okropnie podniecona Kim.

- Już przyjechali!

- Wiem - powiedziałam smętnie. Dotąd miałam nadzieję, że może się rozmyślą. Teraz było wiadomo, że będziemy musiały jechać.

Nieodwołalnie.

Elaine Gretel uśmiechała się swobodnie i rozmawiała ze swoimi rodzicami. Sprawiała na mnie miłe wrażenie, w przeciwieństwie do jej rozdokazywanych braci, którzy przypominali mi braci Amy. Wszędzie ich było pełno.

- Tony! Mark! - co chwila strofowała ich matka. - Jeśli natychmiast się nie uspokoicie, pójdziecie do swojego pokoju. - Mówiła tak o jednej z naszych sypialni!

Zaprowadziłam Elaine na górę. W holu zaczekałyśmy na moją mamę.

- Ty zajmiesz pokój Marian, Elaine. Chłopcy będą spali, u Kim - zadysponowała.

Przynajmniej tyle dobrego, pomyślałam z ulgą. Byłam pewna, że dziewczyna, taka jak Elaine, nie zniszczy nic z moich rzeczy. Dwa lata pracowałam nad tym, żeby mój pokój wyglądał tak jak na zdjęciach w czasopiśmie, i nie chciałam, by obca osoba go zrujnowała.

Mój pokój spodobał się Elaine od razu. Miała na sobie dżinsy, czerwoną koszulkę; rękawy białego swetra zarzuconego na ramiona przewiązała pod szyją. Płazowe sandały odsłaniały polakierowane paznokcie u stóp. Kiedy dotknęła żółtej poduszki na moim bujaku, zobaczyłam, że ma też staranny manicure.

Patrzyłam, jak podchodzi do mojej toaletki, i ogląda lustro.

- Kapitalnie układa się przed nim włosy - powiedziałam. - Widzisz głowę ze wszystkich stron.

Czasami wydaje mi się, że już jestem uczesana, ale wystarczy, że poruszę lekko jednym skrzydłem lustra, i okazuje się, że z tyłu fryzura jest

do niczego...

- Wiem - rzekła Elaine, ale nie wierzyłam, żeby miała kiedykolwiek kłopoty z układaniem włosów.

- Pospiesz się, Mariah - zawołała mama z holu na parterze.

- Nie możemy marudzić. Chciałabym wyjechać, zanim się zacznie najgorszy upał.

Ostatnie chwile z nową przyjaciółką upłynęły mi na nerwowym sprawdzaniu, czy nic nie zapomniałam. Zajrzałam do szafy, do szuflad. Szybko chwyciłam cztery książki. Jeśli nie będę miała czasu, by napisać własną, przynajmniej przestudiuję uważnie te, które wybrałam.

Wrzuciłam je do torby plażowej, gdzie mama nie powinna ich znaleźć.

- Do widzenia. Elaine. Niech ci się dobrze mieszka w moim domu - powiedziałam na pożegnanie, po czym, ni stąd ni zowąd, poprowadziłam ją do okna i wskazałam na czarną skałę, gdzie siadywały mewy.

- To dobre miejsce, kiedy człowiek chce trochę porozmyślać i być naprawdę sam. Często tam chodzę.

Elaine uśmiechnęła się i lekko dotknęła mojego ramienia.

- Chyba jestem podobna do ciebie. Ja też czasami potrzebuję samotności. Dzięki, że pokazałaś mi swoją skałę.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym będę skłonna z kimś ją dzielić.

## ROZDZIAŁ 4

Droga do Palm Springs zabrała nam półtorej godziny. Półtorej godziny ponurych rozmyślań. Kim siedziała z tyłu, między pakunkami, z nosem w książce do kolorowania. Wreszcie zjechałyśmy z autostrady na wąską drogę. Nie była, oczywiście, wcale wąska, ale po autostradzie wydawała się małą drożyną. Po lewej rozciągała się pustynia, po prawej widać było zamglone góry.

- Zimą na zboczach gór można zobaczyć śnieg - powiedziała mama. - Te maleńkie patyczki, które wyglądają jak wykałaczki, to naprawdę wielkie drzewa iglaste.

- Mogłybyśmy pojechać tam na górę? - Zainteresowała się Kim na widok przydrożnej reklamy kolejki linowej. - Zobaczymy - odparła mama.

Minęłyśmy znak wskazujący drogę do kolejki i wjechałyśmy do Palm Springs, gdzie przywitał nas inny znak: „Zapraszamy do Kanionów Indiańskich - Izba Handlowa Palm Springs”. Nie miałam pojęcia, że w Palm Springs są Indianie. Mama zaparkowała samochód przed restauracją.

- Zjemy coś tutaj i obejrzymy mapę, którą przysłał pan Abbott. - To jeszcze nie dojechałyśmy? - zapytała niecierpliwa Kim.

- Jesteśmy prawie na miejscu, ale zgłodniałam, a poza tym powinnyśmy się odświeżyć, zanim dotrzemy do domu.

- Ale tam nikt na nas nie czeka. Abbottowie wyjechali już przecież do Europy - przypomniałam mamie.

W restauracji panował taki tłok, że musiałyśmy czekać na stolik.

- Nie wiedziałam, że tyle ludzi przyjeżdża latem do Palm Springs - zdziwiłam się, patrząc na zabiegane kelnerki.

- Podobno zrobiło się bardzo popularne. Wszędzie klimatyzacja,



ludziom nie przeszkadza więc upał, zresztą i tak większość czasu spędzają nad basenami. Przyjeżdżają tutaj odpocząć - wyjaśniła mama.

Nuuuda, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam. Jeśli mamy już tutaj spędzić lato, a czułam, że nie ma odwrotu, powinnam przestać marudzić i spróbować być miłą. Tyle, że już tęskniłam za domem...

Kelnerka nalala mamie drugą filiżankę kawy. Mama odsunęła ręcznie narysowaną mapkę.

- Musimy się zbierać. Pan „złota rączka” pewnie się niepokoi, dlaczego jeszcze nas nie ma.

Popatrzmy, pan Abbott gdzieś mi zapisał jego nazwisko. O jest. Nie, tylko imię: stary Jim”.

Ma prawie siedemdziesiąt lat. A ten drugi to Paul. Paul Strobe. „Osiemnastoletni, bardzo miły chłopak”. Tak pisze pan Abbott. Cóż, obydwaj będą nam na pewno bardzo pomocni.

Dokończyłam colę. Osiemnastoletni... Słomka w szklance zbulgotała, kiedy wciągałam resztkę napoju. Osiemnastolatek dorabiający sobie w wakacje w rezydencji pana Abbotta.

Może poćwiczę na nim swój uśmiech...

Po obu stronach Palm Canyon Drive ciągnęły się eleganckie sklepy. Księgarnie, butiki, kwaciarnie, wszystko, czego dusza zapagnie. Ucieszyła mnie liczba księgarni. Wymknę się kiedyś od Abbottów i pomyszkuję w nich.

Centrum handlowe było naprawdę ogromne. W pewnej chwili wypatrzyłam bibliotekę.

Uśmiechnęłam się. Poznają mnie tego lata jako turystkę wertującą zakurzone tomy. Po latach może znajdę czas, by wpaść tutaj, już jako

znana pisarka. Ta myśl wywołała miły dreszczyk.

W końcu zobaczyłyśmy tablicę, której szukałyśmy.

- "Skipalot Drive. Droga prywatna" - przeczytała Kim. - Podoba mi się ta nazwa - oznajmiła i zaczęła powtarzać ją do znudzenia.

Miałam ochotę dać jej kuksańca.

Czułam w gardle gorące powietrze i piasek niesiony wiatrem, który wciskał się przez okna samochodu.

- Jesteśmy! - zawołała mama.

Dziwiłam się, że widzi cokolwiek. Jechała teraz wolniej.

Wreszcie pojawił się dom. Dojrzałam też drewnianą tablicę kołyszącą się na słupku z kutego żelaza. „Abbott'„, przeczytałam. Prawdę mówiąc, otoczony wysokim murem dom nie bardzo był widoczny. Nieco dalej, także za wysokim murem, znajdowała się następna rezydencja.

Obie prezentowały się wspaniale.

Wzdłuż murów, po obu jego stronach, rosły dorodne palmy daktylowe, niczym strażę strzegące zamków. Droga pięła się pod górę i kończyła przy drugiej rezydencji.

Mama zatrzymała samochód koło tablicy Abbottów, przez chwilę wpatrywała się w żelazną bramę, wreszcie wysiadła z samochodu.

Znalazła przycisk domofonu. Po chwili z czarnej skrzynki dał się słyszeć czyjś głos. Młody głos. Pomyślałam, że to na pewno nie stary Jim.

- Tak?

- Tu Johnson. Właśnie przyjechałyśmy. - Mama zerknęła na nas i lekko się zaczerwieniła.

- Wau! - pisnęła Kim wyglądając przez okno. - Muszą mieć okropnie dużo pieniędzy.

- Ciii - napomniała ją mama, kładąc palec na ustach. - Oni pewnie nas słyszą.

Brama zaczęła się powoli otwierać. Mama wróciła szybko do samochodu i zapaliła silnik.

- Nie wiadomo, jak długo będzie otwarta. - Wjechała na podjazd biegnący wokół ogromnego trawnika z klombami kwiatów, palmami i kaktusami. Muszą zatrudnić ogrodnika na stałe, pomyślałam onieśmielona imponującym widokiem.

Dom Abbotów był willą w hiszpańskim stylu. Widziałam kiedyś podobną w jakimś czasopiśmie. Miał otynkowaną na różowo fasadę, gęsto obrośniętą dzikim winem, i taras otaczający parter. Kiedy stąpałam po kaflach, którymi był wyłożony, miałam uczucie, że idę po namalowanym przez kogoś obrazie. Każda płytką była inna, ale na każdej znajdował się białoniebieski kwiat z zielonymi listkami.

Na balkonach otaczających pierwsze piętro stały wielkie donice z różowym, białym i szkarłatnym geranium.

Ogromne rzeźbione drzwi frontowe otworzyły się. W progu stał chłopiec z dłonią wyciągniętą na powitanie. Paul Strobe. Miał na sobie spłowieły błękitny T - shirt i dżinsy, ale muszę przyznać, że nie to dostrzegłam w pierwszym momencie. Opadające na jedno oko włosy odrzucił takim gestem, jakby robił to zawsze. Później zapisałam w swoim notatniku, że miały kolor piasku. Włosy, które trudno zapomnieć, jasne, z ciemniejszymi pasemkami. Sprawiały wrażenie tak miękkich, że miałam ochotę ich dotknąć. Błękitne oczy w kolorze letniego nieba. Naturalny i szczery uśmiech, bezpośredni, zaraźliwy.

Kiedy przyszła moja kolej uścisnąć mu dłoń, przez chwilę nie

oddychałam i dopiero wtedy wyciągnęłam rękę. Jeszcze przez kilka minut  
czułam ciepło jego dotyku i coś jak prąd, przenikający do samego serca...

## ROZDZIAŁ 5

Na szczęście z tyłu domu jest też dzwonek domofonu, inaczej nie usłyszelibyśmy, że przyjechałyście. Strasznie właśnie hałasujemy.

Miał prosty, nie za długi nos, opaloną skórę. Im dłużej wpatrywałam się w jego oczy, tym bardziej błękitne się wydawały. Poczułam, że się czerwienię. Musiał zauważyć, że mu się przyglądam. Utkwiłam wzrok w płytkach tarasu, udając, że je podziwiam. Podniosłam głowę, dopiero, kiedy wprowadził nas do środka.

Znalazłyśmy się w wielkim przedsionku z białą marmurową posadzką. W głębi dojrzałam wspaniałą klatkę schodową, też całą w bieli. Pomyślałam, że powinnyśmy zdjąć buty. Paul poprowadził nas do salonu po lewej, którego podłoga wyłożona była niebieskim dywanem, tak grubym, że tonęły w nim stopy. Przysięgłabym, że sięgał do kostek. - Oprowadzę was szybciotko - powiedział, wycierając kropkę kremowej farby na rękę. Farba została na palcach. Kiedy ponownie odgarnął włosy, pomazał sobie czoło. Zaśmiałam się, a on spojrzał w lustro wiszące nad kamiennym gzymsem kominka. Odetchnęłam z ulgą słysząc, że i on się roześmiał.

- Ależ ja wyglądam. Mówiłem już, że szybko pokażę wam dom. Nie chcę zostawiać Jima samego zbyt długo w tym upale, bo gotów pracować, dopóki nie padnie. - Robicie coś w ogrodzie? - zapytała mama, ciągle oszołomiona przepychem wnętrza. - Budujemy altanę - powiedział Paul, wyciągnął z kieszeni spodni szmatkę i próbował zetrzeć farbę z czoła, ale rozmazał ją tylko jeszcze bardziej. - Co to jest altana? - dopytywała się Kim.

- Pokażę ci, kiedy wyjdziemy na zewnątrz. - Mówiąc to pogładził ją

po głowie. Był wysoki. Musiał mieć ponad metr osiemdziesiąt. Szczupły, ale muskularny, pomyślałam i poczułam dreszcz na całym ciele.

To śmieszne, że ktoś oprowadzał nas po domu. Kilka godzin wcześniej my pokazywałyśmy nasz dom Gretelom. Nam zajęło to zaledwie kilka minut, a tutaj będzie trwało na pewno znacznie dłużej. Może nawet nie uda się nam zobaczyć wszystkiego!

W rezydencji Abbottów było sześć sypialni na piętrze, trzy na dole; każda miała własną łazienkę i mały salonik. Kuchnia była tak ogromna jak cały parter naszego domu. W jadalni panował ten sam przepych, co w salonie. Wiedziałam, że nigdy, przenigdy nie usiadziemy tutaj do stołu, chyba, że wydawałybyśmy królewskie przyjęcie.

Później, Paul zaprowadził nas do gabinetu pana Abbotta, który przypominał trochę bibliotekę: wszędzie pełno skórzanych obić, nawet ściany wyłożono skórą. Kolejny pokój Paul nazwał „relaksowym”. Był tutaj wielki stół do poola, z białego marmuru, telewizor z ekranem tak ogromnym, że poczułam się jak w prywatnym kinie, półka pełna gier komputerowych. Sprzęt stereo zajmował całą ścianę. Kilku obrazów marynistycznych dopełniało całości.

W domu pełno było kwiatów w porcelanowych wazach ustawionych na małych stolikach i na gzymsach kominków.

- Polubicie starego Jima, Jima Cable - oznajmił Paul. Kończąc oprowadzanie. - Pan Abbott nazywa go swoim „duchem opatrnościowym”. Jim ma wiele talentów: jest ogrodnikiem, stolarzem, hydraulikiem, potrafi zreperować połamany fotel bujany i zepsutą lampę.

Wyszliśmy na patio pełne kwiatów. Teraz zrozumiałam, skąd biorą cięte kwiaty do wazonów.

W ogrodzie rosły palmy. Ścieżką z czerwonej cegły doszliśmy do basenu, który wyglądał jak otoczona skałami i mnóstwem roślin laguna z niewielkim wodospadem.

- Tutaj jest jak w dżungli - powiedziałam z zapartym tchem. - A basen... jak z rajy...

- Jest wyłożony czarnymi kafelkami - powiedział Paul.

Mama spojrzała w wodę.

- Człowiek zapomina, że ten bujny ogród znajduje się naprawdę w sercu pustyni. Co to za rośliny? - zapytała, wskazując na gęstą ścianę zieleni.

- Agawy, aloesy, oleandry, palmy, a tam sedum i jukka. Wiele czasu było trzeba, żeby wszystko wyglądało jak teraz.

Paul poprowadził nas przez ogród do miejsca pełnego desek i wiader z farbami. Jim ciął drewno piłą elektryczną. Na nasz widok wyłączył ją.

- Powitać. Jestem Jim - powiedział z uśmiechem i wyciągnął pomarszczoną, żyłastą dłoń.

Mama uścisnęła ją serdecznie, odwzajemniając uśmiech, po czym Jim mocno potrząsnął moją ręką.

- Jim mieszka w domku za tamtymi drzewami - poinformował Paul.

- Trudy, pokojówka, wyjechała na całe lato, Rachel, kucharka, również.

Wrócą dopiero we wrześniu. Tylko Jim postanowił zostać.

- A gdzie miałbym jechać. - Jim zaśmiał się. Jego twarz była pomarszczona jak suszone jabłko, a czaszka łyśsa jak kolano, jeśli nie liczyć kilku siwych włosów.

- A, więc mamy szczęście - powiedziała mama.

Jim uśmiechnął się szeroko, ukazując szczerbate dziąsła. Jego twarz pomarszczyła się jeszcze bardziej. Polubiłam go od pierwszego wejrzenia.

- A my szykujemy niespodziankę dla pani Abbott - wtrącił Paul.

- Zawsze marzyła o altanie. Pan Abbott prosił, żebyśmy zbudowali ją podczas wakacji.

Zaczelśmy zaraz po ich wyjeździe.

- Powiedzieliśmy jej, że będziemy stawiać tutaj oranżerię. A to się zdziwi, jak zobaczy, cośmy zmajstrowali.

- Eksperymentowaliśmy właśnie z farbami - wyjaśnił Paul. Maczając szmatkę w terpentynie i wycierając czoło, po czym przemył twarz czystą wodą. - Chodźmy do środka - zwróciła się mama do mnie i Kim. - Musimy się rozpakować.

Obejrzałam się raz jeszcze przez ramię. Ilość zgromadzonych desek i farby zapowiadała czasochłonne przedsięwzięcie, co oznaczało, że często będę widywała, Paula Strobe'a. Może lato w Palm Springs nie będzie w końcu takie najgorsze, pomyślałam wchodząc do domu.



## ROZDZIAŁ 6

Ublagałam mamę, żeby pozwoliła mi zająć sypialnię na górze. - To wariactwo - orzekła, rozpakowując swoje rzeczy w jednym z pokoi na parterze. - Będiesz bez przerwy biegała po schodach. Sypialnie na parterze są takie ładne. - Ja chcę tę z pawiami na ścianach, tę z oknem, przez które widać basen - domagała się Kim. - Abbottowie powiedzieli, że możemy zająć te pokoje, które chcemy, z wyjątkiem ich sypialni we wschodnim skrzydle. Możesz, oczywiście, zamieszkać na górze, Mariah, ale, po co, skoro ta zielono - biała sypialnia obok mojej jest taka urocza. - Mama pokręciła głową. Nie miała pojęcia, że obejrzałam dokładnie wszystkie sypialnie. Najbardziej spodobała mi się jedna, z widokiem na ogród i ławeczką pod oknem. Oparta o różową aksamitną poduszkę na parapecie, będę mogła przyglądać się pracom przy altanie. I patrzeć na Paula Strobe'a. Mniej więcej godzinę później, kiedy już rozpakowałam swoje rzeczy, odświeżona po kąpieli, przebrana w zieloną koszulkę i białe szorty. Zajrzałam do pokoi mamy i Kim. Obie spały, więc ruszyłam do ogrodu. Wiedziałam, że Paul nadal tam jest i że układa deski według rozmiarów. Stary Jim już poszedł, zapewne uciąć sobie popołudniową drzemkę. Wszystko to widziałam ze swojego stanowiska na ławeczce pod oknem.

Już miałam otworzyć drzwi, ale obróciłam się na pięcie i rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiegoś dzbanka. Wymyśliłam, że zaniosę mu wodę albo jakiś napój. Otworzyłam lodówkę i aż gwizdnęłam, taka była wielka. Nigdy nie widziałam takiej ogromnej, nawet w sklepach. - Wau - mruknęłam pod nosem. - Zapasy jak w wielkiej restauracji.

Kartony coli, piwa, napojów dietetycznych, sok pomarańczowy w

butelkach. Wzięłam dwie zmrożone puszki coli i zatrzasnęłam drzwiczki.

Rzuciłam jeszcze okiem na swoje odbicie w lustrze i zmierzwiłam trochę fryzurę. Chciałam wywołać wrażenie dziewczyny, która nie dba za bardzo o to, jak wygląda. Po co miałby wiedzieć, jak długo i starannie szczotkowałam włosy.

- Czego się spodziewasz, skoro nie masz żadnych atutów? - powiedziałam smętnie do lustra. Paul najwyraźniej kończył pracę. Wszystkie moje nadzieje pierzchły w jednej chwili. - Koniec na dzisiaj? - zagadnęłam głupkowato widząc, że zdejmuje rękawice robocze.

Podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. On nie ma kłopotów z uśmiechem, pomyślałam.

Jacy szczęśliwi są ci, którzy tak łatwo nawiązują kontakt z innymi. Drżącą ręką podałam mu colę.

- Cudownie - ucieszył się, ocierając pot z czoła. - Jesteś aniołem. Skąd wiedziałaś, że usycham z pragnienia? Ja sam chyba tego sobie nie uzmysłowiłem. - Przechylił głowę i zaczął łapczywie pić. a ja przyglądałam się jego jabłku Adama. - Chodź, usiądziemy koło basenu.

Mariah. Tam jest chłodniej. - Nikt chyba jeszcze nie wypowiedział mojego imienia równie gładko. Błękitne oczy wpatrywały się we mnie uważnie. W tej chwili zrobiłabym wszystko, o co by tylko poprosił.

Usiedliśmy na chłodnych cegłach od głębszej strony basenu. Podziwiałam długie palce Paula.

Dłonie artysty, pomyślałam, puszczając wodze fantazji. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Ogarnęła mnie panika. Jeśli natychmiast czegoś nie powiem, gotów uznać mnie za głąba.

- To wspaniale, że budujesz z Jimem altanę - zaczęłam drżącym

głosem. - Uwielbiam altany. - Zawsze uwielbiałam. Pełno ich w angielskich ogrodach. Są takie wiktoriańskie...

- To prawda. Chociaż były znane już w Egipcie.

- Jest tyle różnych typów, spośród których można wybierać - dorzuciłam, mądrzejsza po krótkich studiach w gabinecie Abbotta. Nie przeszkadzało mi, że uzna mnie za brzydką, bo na to nic nie mogłam poradzić, ale wolałam nie uchodzić za głupią.

- Tak. Przejrzeliśmy mnóstwo wzorników, zanim wybraliśmy projekt. Pan Abbott też uznał go za najlepszy. Zamówiliśmy plan i potrzebne materiały. Przez cały tydzień oczyszczaliśmy z roślin miejsce budowy.

- Pociągnął łyk coli. - Nigdy nie mogę się nadziwić, ile można zrobić mając kilka desek, gwoździ i trochę farby.

- Chcesz być stolarzem?

- Nie, architektem - odparł kończąc colę. Mokra od potu koszulka przyłgnęła mu do pleców. - To moje marzenie. Na pewno się spełni. We wrześniu zaczynam studia w Berkeley, a potem chciałbym przenieść się do Massachusetts Institute of Technology.

- Wau - powiedziała niczym moja mała siostra. - Naprawdę? Ale tam studia są bardzo drogie.

Co za głupia uwaga, pomyślałam, ledwie wymówiłam te słowa.

- Wiem - odpowiedział, udając, że nie zauważył głupiego komentarza.

- Ale tu chodzi o karierę, o zawód na całe życie. Architekt musi znać wiele dziedzin. Jeśli chce być dobry.

Zapatrzył się w basen. Wiedziałałam, że Paul równie poważnie myśli o

architekturze, jak ja o pisarstwie. Siedzieliśmy na brzegu basenu i milczeliśmy. Czułam się odprężona, spokojna, jak w obecności kogoś, kogo znam od lat. Czy on czuł się podobnie?

Po kilku minutach spojrzał na zegarek.

- Muszę iść do domu. Dla mojej matki trzydzieści sekund to już poważne spóźnienie.

Wiecznie się zamartwia.

- Wszystkie matki się zamartwiają - powiedziałam ze śmiechem.

- Jacy są Abbottowie - zapytałam po chwili. - Są tacy bogaci. To mili ludzie? Lubisz ich?

- Są fantastyczni. - Spojrzał mi prosto w oczy.

Nagle zaschło mi w gardle, choć piłam colę.

- Znam ich od dziecka. Kiedy się dowiedzieli, że lubię stolarkę, pan Abbott przedstawił mnie Jimowi. To było lata temu. a ja ledwie mogłem utrzymać młotek w ręku. Robiłem różne drobiazgi z kawałków drewna, które Jim mi dawał. Nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafi. Kiedy pan Abbott dowiedział się, że chcę zostać architektem, zachęcał mnie bardziej niż mój ojciec. Pani Abbott też jest wspaniała. Dziw, że nie jestem grubasem, przy jej poczęstunkach i jej pysznej kuchni. Ma tyle służby, a pomimo to lubi gotować. Tak, są wspaniali.

Odgarnęłam pasemko włosów z twarzy.

- To dziwne. To znaczy... bogaci ludzie nie są zazwyczaj zbyt mili - powiedziałam. - Moja mama pracuje w ekskluzywnym przedszkolu, do którego chodzą naprawdę bogate dzieci.

Mówi, że są nieznośne, rozpuszczone i że ich rodzice zadzierają nosa i są okropnie aroganccy.

Chodziłam do szkoły z bogatymi dzieciakami i nie dałabym za żadne z nich złamanego grosza. Bogaci są tacy... ja wiem... pływcy.

Paul zanurzył stopy w basenie. Milczał przez chwilę.

- Może nie chciałaś ich lepiej poznać - odezwał się wreszcie. - Może jest w tym trochę twojej winy. Może oceniałaś ich, wiedząc z góry. Że ich nie polubisz. Myślisz, że mogło tak być?

Zaśmiałam się nerwowo.

- Nie, Paul, nie masz racji. Zdarzyło ci się akurat poznać bogatych, którzy są mili, ale gdybyś zobaczył tych, z którymi ja się zetknęłam... - powiedziałam tonem osoby doświadczonej.

Woda kusiła chłodem. Poszłam w ślady Paula, zdjęłam sandały i też zanurzyłam stopy.

- Znasz poza Abbottami kogoś, kto byłby naprawdę bardzo, bardzo bogaty i do tego tak miły jak oni? - zapytałam prowokująco. Paul odchylił głowę i spojrzał w niebo. Wprost nad jego głową przepływała kłębiasta chmura. Zastanawiał się nad czymś intensywnie.

- Widzisz, nikt nie przychodzi ci do głowy - wytknęłam mu po chwili.

- Nieprawda. Zauważyłaś ten dom na końcu ulicy?

- Jak mogłam nie zauważyć? To ogromna rezydencja, na pewno tak samo fantastyczna jak ta.

Dlaczego pytasz?

- Znam tych ludzi. Mieszka tam chłopak w moim wieku. Jest naprawdę fajny. Mogę śmiało powiedzieć, że go lubię. Może chciałabyś go poznać?

Pokręciłam głową.

- Nie. Nie chciałabym. Nie wiedziałabym, jak z nim rozmawiać.

Bogaci są tacy wyniośli.

Czuję się przy nich mała, gorsza.

Wstał i pomógł mi się podnieść.

- Muszę już iść na do domu na obiad. - Wyciągnął zza krzaków oleandra biało - czerwona motorynkę. - Jutro przyjdę tu znowu. Mariah. Jeśli będziesz miała czas, możesz pomóc mnie i Jimowi... Jeśli chcesz.

- Uśmiechnął się znowu tym swoim cudownym uśmiechem.

I ja się uśmiechnęłam, ale niepewna, czy nie wyglądam z tym jak idiotka, natychmiast ściągnęłam usta.

- Oczywiście, że chcę. - Próbowałam nie okazywać radości.

Pokiwał mi na pożegnanie i wyszedł z ogrodu boczną bramą, której wcześniej nie zauważyłam. Słyszałam zza muru odgłos uruchamianej motorynki. Słońce chyliło się ku zachodowi, chociaż do zmierzchu było jeszcze daleko. Spotkałam swojego chłopca. Kogoś, z kim mogę rozmawiać, z kim czuję się dobrze. Miałam nadzieję, że nie powiedziałam nic głupiego, że nie zrobiłam nic, co mogłoby go zrazić. Ruszyłam w stronę domu obiecując sobie, że następnego dnia staranniej ułożę włosy. Pomyślałam o Amy. Skonałaby, gdybym opowiedziała jej o Paulu.

## ROZDZIAŁ 7

Do diabła! - Co się stało? - zapytała mama, wchodząc do mojej sypialni następnego ranka. - Nie mam adresu Amy - jęknęłam.

- Jest w Nowym Jorku u swojego ojca, tak? Zadzwoń po prostu do jej matki i zapytaj - poradziła mama.

- Nie mogę. - Rzuciłam papeterię na łóżko. - Wyjechała z chłopcami do Iowa na całe lato. Rany, tak strasznie chciałam napisać do Amy... właśnie teraz.

- Dlaczego właśnie teraz? - podchwyciła moja przenikliwa mama. Gorączkowo szukałam słów.

- Chciałam opisać jej ten wspaniały dom... i w ogóle. Mama uśmiechnęła się domyślnie i podeszła do okna.

- Tak. Ten wspaniały dom i „w ogóle”. A może zaprosimy „w ogóle” na wieczorne barbecue? - Jakie barbecue? - krzyknęła Kim z dołu.

Ta smarkata powinna dostać nagrodę za fenomenalny słuch, pomyślałam. W ułamku sekundy była w moim pokoju. - Jakie barbecue?

Mama roześmiała się i zaczęła poprawiać poduszki na ławeczce pod oknem. - Zapytaj Mariah - powiedziała z przewrotnym uśmiechem. Schowałam papeterię do szuflady biurka.

- Mama mówi o Jimie. Chcemy go zaprosić na barbecue, dzisiaj wieczorem w patio - wyjaśniłam siostrze, ignorując zdziwiony wzrok mamy. - Pysznie! A Paula Strobe'a też możemy zaprosić?

Wymieniłyśmy z mamą krótkie spojrzenie i dostałyśmy takiego ataku śmiechu, że łzy popłynęły mi z oczu. Podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. - Czemu nie. Mariah? Dlaczego nie miałybyśmy go zaprosić? - zapytała poważnie. - Ja go zaproszę - wyrwała się Kim, a ja

odetchnęłam z ulgą. Mama uśmiechnęła się.

- Wpadłaś - powiedziała na tyle cicho, by Kim nie słyszała, po czym zwróciła się do mojej siostry: - Zaproś go od razu. Kim, musi przecież uprzedzić rodziców.

Kim wypadła z pokoju jak strzała, a mama usiadła pod oknem podziwiając roztaczający się z niego widok. Wyglądała ślicznie w porannym świetle, tak młodo, jakby była moją rówieśniczką. Czy też była nieśmiała wobec chłopców, kiedy miała tyle lat co ja? Chyba nie.

Była przecież bardzo ładna, nie to, co ja, z moją pospolitą urodą i oczami o nieokreślonym kolorze.

Ciągle miałam kłopoty z makijażem. Szminka nigdy nie trzymała się długo na moich ustach, bo ją zjadałam. Najgorsze jednak były włosy. Może kiedyś uda mi się coś z nimi zrobić, ale na razie nic nie skutkowało. Może udałoby się przekonać mamę, żeby zgodziła się na trwałą ondulację?

Mama przerwała moje rozmyślenia.

- Zróbmy szybko, co mamy do zrobienia, i resztę dnia będziemy miały dla siebie. Chcę, żebyście pojechały ze mną do supermarketu. Może zdążymy też zajrzeć do tych butików, które widziałyśmy po drodze.

Ledwie wyszła z pokoju, pobiegłam do okna, akurat w samą porę. By zobaczyć, jak Kim podchodzi do Paula. Nie słyszałam, oczywiście, ich głosów, ale domyślałam się, co mówią.

Kim odezwała się pierwsza. Zobaczyłam uśmiech na twarzy Paula. Skinął głową. Przyjdzie!

Następnie Kim zaprosiła Jima. Teraz z kolei on się uśmiechnął. Wydawał się bardzo ucieszony.

Poczułam, że się czerwienię, i mimo że byłam sama, zakryłam



policzki dłońmi. Żeby dzień był najwspanialszy, to i tak żadne wydarzenie nie mogło umywać się do tego, co miał przynieść wieczór. Zerknęłam na chudą pokrakę w lustrze i wyszłam z pokoju, gotowa na wyprawę do wielkiego centrum małego Palm Springs.

- Myślałam, że najpierw kupimy jedzenie, ale zepsuje się w tym upale, zaczniemy więc od innych sklepów - powiedziała mama. Kiedy wsiadłyśmy do samochodu.

Sklepy przy głównej ulicy wprost lśniły - później dowiedziałam się, że ich właściciele codziennie rano myją chodniki. Wszystkie miały idealnie czyste szyby i zapierające dech wystawy. Niektóre zamknięto na lato, ale większość wabiła klientów szeroko otwartymi drzwiami i dyskretną muzyką. Kiedy mijałyśmy bibliotekę, przyrzekłam sobie, że przyjdę tu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Do domu wróciłyśmy przed czwartą. Pomogłam mamie wypakować jedzenie, pobiegłam na górę odświeżyć się i zaraz potem do ogrodu. Gdybym wcześniej wyjrzała przez okno, zobaczyłabym zaczątki konstrukcji altany - i nikogo w pobliżu.

Za późno, pomyślałam rozglądając się po pustym placu budowy.

- Powitać - usłyszałam Jima, który wyłonił się zza oleandrów. - Jeśli chcesz pomóc, to proszę bardzo. Mariah.

- Nikogo przecież nie ma - powiedziałam z wyrzutem.

- No, ja jezdę. - Zachichotał. - Rozumiem. Jeno patrzeć, jak Paul wróci. Machnął się do domu po gwoździe.

- Aha. A gdzie on... jak daleko mieszka? - zapytałam siadając na stercie desek. - Na Skipalot Drive nie widziałam żadnych innych domów poza tymi dwoma. Jim miał rozbawioną minę.

- Myślałem, że wiedziałaś - powiedział, zakładając rękawice. Schylił się i podniósł jakąś deskę. - Paul mieszka w tym drugim dużym domu.

Rozdziawiłam usta, w mojej głowie kłębiły się chaotyczne myśli. Nie wiedziałam. Paul musi mnie nie znosić, pewnie uważa za kretynkę. Dlaczego mi nie powiedział? Zanim zdążyłam się odezwać, pojawił się z kilkoma paczkami gwoździ.

- Cześć! - zawołał. - Świetnie, że jesteś, będziesz wbijać gwoździe. Jim, gdzie drugi młotek?

- Nie mogę zostać. Muszę pomóc mamie - odezwałam się nie swoim głosem, odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Minęłam pędem basen, palio, wpadłam do kuchni i tu zderzyłam się z mamą. Chwyła mnie za ramiona i spojrzała w oczy.

- Co to, kochanie, pali się? Coś ty taka blada? Źle się czujesz?

- Tak. Jestem chora, upokorzona, wściekła, zażenowana i rozczarowana!

- O jej - jęknęła, chowając szczotkę do szafki. - Powiesz mi, co się stało?

Opadłam na krzesło i patrzyłam, jak mama nastawia ekspres do kawy. W domu, ilekroć któraś z nas miała jakieś kłopoty, zasiadałyśmy w kuchni przy kawie. Te kuchenne posiedzenia przynosiły nam ulgę: gorąca kawa rozgrzewała, i problem się rozpływał.

- Myślałam, że jest zwykłym śmiertelnikiem, tak jak my. a on nie wyprowadził mnie z błędu.

Wyobrażasz sobie'

- O czym ty, na Boga, mówisz? - zapytała siadając. - Nic nie rozumiem.

- Wczoraj rozmawialiśmy o bogatych ludziach. Paul mógł napomknąć, że do nich należy, ale nie zrobił tego. O, nie. Podpuścił mnie. a ja powiedziałam - krew napłynęła mi do twarzy na wspomnienie tego, co mówiłam - że nigdy nie spotkałam bogatego człowieka, którego bym lubiła. A palem zaczęłam opowiadać o rozpaskudzonych dzieciakach i ich aroganckich rodzicach z twojego przedszkola.

- I co on na to?

- Powiedział, że mogę się mylić, że może nie miałam okazji albo nie chciałam lepiej ich poznać. A przecież mógł się po prostu przyznać, że sam jest bogaty.

- Skąd wiesz, że jest bogaty?

- Jim powiedział mi, że mieszka w tej rezydencji obok.

Mama zrobiła wielkie oczy.

- Fiuuu - gwizdnęła cicho. - Więc rzeczywiście jest bogaty.

- Rzecz w tym. Mamo, że pozwolił mi mówić, a ja zrobiłam z siebie idiotkę. Teraz śmieje się duchu! - fuknęłam gniewnie.

- Masz nauczkę. - Wstała, żeby nalać kawy. Zrozumiałam, że nie mam, co liczyć na jej współczucie. - Może nie powinniśmy tak lekko osądzać ludzi, tylko, dlatego, że mają pieniądze.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Nie wiedziałam, co myśleć.

- Nie uważasz, że zabawił się moim kosztem? - zapytałam.

- Nie, kochanie. Zbyt go lubię, żeby tak myśleć. Wieczorem powinnaś przeprosić go za to, coś wygadywała.

- Nie mam zamiaru - burknęłam.

- Ciągłe powtarzasz, że chcesz pisać. Powinnaś, więc włączyć wiele słów do swojego słownika. Jedno z nich to, „przepraszam”. Nie wystarczy

wiedzieć, jak się je pisze, trzeba go używać, odczuć je, zrozumieć. Spróbuj, a na pewno będziesz lepszą pisarką.

- W porządku - zgodziłam się ponuro.

Przekonała mnie, ale wiedziałam, że przeprosiny nie przyjdą mi łatwo. Miałam nadzieję, że mama ma rację. Spojrzałam na zegar. Za mniej więcej cztery godziny będą musiała spojrzeć Paulowi w oczy, pomyślałam. Może nie przyjdzie. Dowiem się za cztery godziny.

## ROZDZIAŁ 8

Rozpaliłam ogień i kazałam Kim rozstawić stół piknikowy w patio.

- Przynieś pikle, musztardę, ketchup i inne przyprawy, żebyśmy potem nie biegały tam i z powrotem - poleciłam.

Kim kiwnęła głową i zabrała się do przygotowań.

Myślami byłam daleko od musztardy i hot dogów. Może nie przyjdzie. Było już dziesięć po ósmej, a Jim i Paul jeszcze się nie pojawili. Wpatrywałam się w jasne, strzelające wysoko języki ognia. Dopiero po chwili węgle zaczęły spalać się równym, spokojnym płomieniem.

Kiedy powstanie żar, będzie można kłaść kielbaski. Paula nadal nie było.

Mama przyniosła hot dogi. Na ścieżce pojawił się Jim z papierową torbą w dłoni.

- Jeszcze ciepłe, prosto z pieca - powiedział, podając ją mamie.

Otworzyła torbę i uśmiechnęła się.

- Ciasteczka z wiórkami czekoladowymi! - zawołała. - Uwielbiamy je. Skąd... sam je upiekłeś?

- Ma się rozumie - odparł Jim z dumą, odsłaniając w uśmiechu szczerbate dziąsła. - Zара po robocie.

- Nie miałam pojęcia, że piec też potrafisz.

- Zawsześmy je piekli z żoną - powiedział szeptem i zamilkł.

Mama nie pytała o nic więcej, uznawszy, że nie czas po temu i że Jim sam powie, jeśli będzie chciał. Doskonale czuła takie rzeczy. Wiedziała, kiedy zachęcać ludzi do mówienia, a kiedy lepiej się nie narzucać. Ja nie mam tego daru, pomyślałam markotnie.

O wpół do dziewiątej spojrzałam na nią pytająco. Nic nie

powiedziała, ale wiedziałam, że myśli o tym samym. On nie przyjdzie.

- Chyba zaczniemy piec kielbaski - zdecydowała za piętnaście dziewiąta. - Na pewno jesteś już głodny - zwróciła się do Jima.

- Ano, się wie - przytaknął staruszek, pijąc drugą filiżankę kawy.

Przyniósł ze sobą jakąś butelkę. Od czasu do czasu wyciągał ją z kieszeni i dolewał z niej czegoś do filiżanki. Mama udawała, że tego nie zauważa, ale wiedziałam, że doskonale wie.

Kiedy kielbaski zaczęły skwierczeć na ruszcie, spojrzałam w rozgwieżdżone niebo. Pogoda w Palm Springs jest naprawdę dziwna. Choćby dzień był nie wiadomo jak upalny, noce są piękne i chłodne - można rzec niebiańskie, bo widać każdą gwiazdeczkę - a przy tym pełne dziwnych dźwięków, jak choćby wycie kojotów, o czym powiedział nam Jim. i śpiewu ptaków. Czy one nigdy nie śpią? W ogrodzie Abbottów gwarzyły między sobą całymi nocami.

Nagle między krzewami pojawił się Paul Strobe.

- Przepraszam za spóźnienie. Pojechałem po zakupy i utknałem w sklepie. Straszny tłok - usprawiedliwił się zadyszany.

Wręczył mamie pudełko czekoladek, a Kim duże opakowanie M&M. Mnie podał papierową torbę.

- Książka. Z księgami mojego ojca. O Palm Springs. Powinna ci się spodobać - powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Wyjęłam ją i zaczęłam oglądać. Zawierała historię miasta, opis aktualny, perspektywy na przyszłość i kilkadziesiąt ilustracji przedstawiających Indian i pustynię. Była wspaniała. Ale najważniejsze, że skoro dał mi książkę, to mnie nie znienawidził. Kamień spadł mi z serca.

- Jest w niej mowa o Indianach, rezerwatach, o tym, jak powstało Palm Springs - mówił Paul.

- Dziękuję. Obejrzę ją przed snem - powiedziałam uradowana.

- Paul powinien pokazać ci kaniony - wtrącił Jim sącząc kawę. - Ale, przecie to lato i są zamknięte dla publiki. Zapomniałem.

Paul stał cały czas przede mną.

- I tak jej pokaże. Znam sekretne przejście - dodał zwracając się do mnie.

- Mój przyjaciel Joe mi je pokazał, ale opowiem ci o tym, kiedy indziej.

Kiedy indziej, Rozkoszowałam się słodyczą tych słów. Chciał zabrać mnie do kanionów, opowiedzieć mi coś „kiedy indziej”. Spojrzałam mu w oczy; uśmiechały się przyjaźnie. Zrobił do mnie oko, a ja spiekłam raka.

- Pała się! Trzeba je zdjąć! - krzyknęła mama, wskazując obracające się na rożnie kiełbaski i podbiegła do grilla.

Kim zaszyła się w krzakach. Wiedziałam że opycha się M & M. nie bacząc na upomnienia mamy, żeby nie ruszała ich przed kolacją.

Paul i ja usiedliśmy na skraju ławki, tak żeby reszta nas nie słyszała. Wzięłam głęboki oddech.

- Przepraszam - szepnęłam. - Przepraszam, że wygadywałam te wszystkie bzdury o bogatych ludziach. Nie wiedziałam.

Podniósł dłoń.

- Nie, to ja powinienem przeprosić ciebie. Dlatego przyniosłem książkę. Na znak zawarcia pokoju.

- Gdybym wiedziała...

- Wszystko w porządku. Mariah. Pamiętasz, co powiedziałem o

facecie, który mieszka w tamtym domu? Że jest miły i potrafi ci dowieść, że nie wszyscy bogaci są snobami. - Po przyjacielsku pstryknął mnie w nos i uśmiechnął się, licząc że nikt nic nie zauważył.

- A jednak nie miałam racji.

- Posłuchaj. Mariah. Nie jestem bogaty. Mój pradziadek przyjechał do Palm Springs w poszukiwaniu lepszego życia. Zaczął kupować ziemię i zrobił na tym pieniądze. Później jego syn, a mój dziadek, przejął interesy. Kiedy ojciec odziedziczył majątek, sprzedał działki i kupił księgarnię. To cała historia. Ja jestem tylko synem swojego ojca. Sam nie wypracowałem ani centa, ale zrobię wszystko, żeby moi staruszkowie mogli być ze mnie dumni.

Tak się martwiłam, że muszę przeprosić Paula, a okazało się to zupełnie łatwe.

Uśmiechnęłam się do niego, a on ścisnął mi dłoń pod stołem.

Mama i Jim przynieśli spieczone hot dogi. W tej samej chwili Kim wypęzła ze swojej kryjówki, ale zanim całe towarzystwo znalazło się przy stole. Paul szepnął:

- Masz śliczny uśmiech, Mariah, naprawdę śliczny.



## ROZDZIAŁ 9

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Dotykałam ust, policzków, kilka razy wstawałam i patrzyłam w lusterko stojące na komodzie. Zdarzył się cud. W ciągu jednego dnia stałam się ładna. Lustro potwierdzało, że to nie gra wyobraźni. Poprzedniego wieczoru ćwiczyłam w nim uśmiech, był sztywny jak zawsze, ale gdy Paul powiedział, że ślicznie się uśmiecham, wszystko się zmieniło.

Nie przestawałam o nim myśleć i zadawałam sobie pytanie, czy on też myśli o mnie.

Zapadając w sen pomyślałam o Elaine, która spała teraz w moim łóżku, w moim domu.

Śpi czy przewraca się, jak ja, w pościeli lub krąży po pokoju, wsłuchując się w dziwne odgłosy nocy. Może nie pozwala jej usnąć szum fal rozbijających się o skały? Wrzaski kotów z sąsiedztwa? Czy i ona kogoś poznała?

- Może do niej napiszę? Dlaczego by nie? - powiedziałam głośno, siadając na łóżku, po czym z ziewnięciem opadłam na poduszki. Zaraz po śniadaniu skrobnę do niej kilka linijek. Z tą myślą zasnęłam. Rano mama postanowiła, że powyrywamy chwasty z klombu geranium koło basenu.

- Przyniesiesz moją pomarańczową chustkę? - poprosiła. - Włosy mi się wysuszają na słońcu. Ja też powinnam założyć coś na głowę, pomyślałam. To jeden z sekretów pięknych włosów mojej mamy. Weszłam do jej chłodnej sypialni i pożałowałam, że nie mogę zabrać do ogrodu klimatyzatora. Chustka leżała w najwyższej szufladzie komody, ale mój wzrok padł najpierw na łóżko, gdzie na kolorowej narzucie leżało kilka kartek. Od razu rozpoznałam charakter pisma. Ojca.

Wiedziałam, że list jest nie do mnie, ale nie mogłam się oprzeć i zaczęłam czytać. Rzucę tylko okiem, powiedziała szlachetniejsza część mojej duszy, ale górę wzięła ta gorsza. Usiadłam na łóżku i przeczytałam list od deski do deski.

Tata pisał, że chce do nas wrócić, być dobrym mężem i ojcem, że odchodząc okazał się strasznym głupcem. Błagał mamę, żeby pozwoliła mu wrócić, błagał tak usilnie, że łzy napłynęły mi do oczu. „*Prosiłem Cię już tyle razy. Dlaczego nie chcesz mi wybaczyć?*” - pisał.

Poszukałam wzrokiem daty - 8 stycznia. List sprzed wielu miesięcy! W styczniu prosił o zgodę na powrót, a mama przez cały ten czas powtarzała, że ojciec nie chce wrócić.

Dlaczego?

Łzy płynęły mi po policzkach, kiedy odkładałam list na miejsce. Wiedziałam, że nie wspomnę mamie o niczym, ale czułam wielki ból w sercu. Miałam tylko nadzieję, że potrafię to jakoś ukryć.

Wyjęłam chustkę z szuflady i wróciłam do ogrodu.

Przez kilka następnych dni byłam tak zajęta, że dopiero z początkiem następnego tygodnia znalazłam chwilę, żeby napisać do Elaine. Cały czas albo pomagałam przy budowie altany, albo pielіłam grządki. Ponieważ Jim nie mógł zajmować się teraz ogrodem, ja i Kim musiałyśmy to wziąć na siebie. Chwasty były obrzydliwe, a z nieba lał się żar. Pracowałyśmy w kostiumach kąpielowych, tak, że zgrzane, w każdej chwili mogłyśmy wskoczyć na chwilę do basenu. Wkładałyśmy też podkoszulki, żeby nie spiec pleców.

Kiedy nadchodziła pora lunchu, mama nas wołała. Jadłyśmy w patio, zazwyczaj przyłączał się do nas Paul. Codziennie przez trzy godziny

pomagał w księgami należącej do jego rodziców i nie miałam okazji spotykać się z nim sam na sam. Zadawałam sobie pytanie, czy rzeczywiście pokaże mi Palm Springs, tak jak obiecał. Byłam też ciekawa, co robi wieczorami.

Prace przy altanie postępowały szybko, widać już było ażurową konstrukcję z desek pięknie profilowanych przez Jima.

Kiedy zaczęło się malowanie, włączyłam się do pracy. Jim od czasu do czasu cofał się o krok, ogarniał wzrokiem swoje dzieło i mówił:

- Pięknie się nam udała ta altanka, ani słowa.

Paul ocierał pot z czoła, uśmiechał się szeroko, a w jego oczach pojawiała się satysfakcja z dobrze wykonanej pracy.

- Cudna jest! Odwaliliśmy kawał roboty! - wołał.

Rzeczywiście mieli, z czego być dumni. Drewniana, pomalowana na kremowo altana na cokole z rdzawej cegły, z cedrowym dachem, delikatnym belkowaniem i koronkową kratownicą ścian prezentowała się wspaniale. Kiedy ogarnęłam całość wzrokiem, poczułam, że wzruszenie ściska mi gardło.

W wyobraźni ujrzałam wiktoriańską damę z parasolką, jak przemierza ogród, wchodzi po stopniach do altany, odwraca się i siada na wysłanej poduszkami ławeczce. Po chwili pojawia się mężczyzna. Piją razem popołudniową herbatę, nachyliwszy ku sobie głowy rozmawiają o planowanym małżeństwie. Ślub miał się odbyć wkrótce, tutaj w altanie.

Paul przesunął mi dłonią przed oczami.

- Gdzie jesteś. Mariah?

- Proszę? - zapytałam, budząc się z marzeń.

- Co sądzisz o naszym dziele? Tak się zamyśliłaś...

- Jest śliczna. Pani Abbott oszaleje, kiedy ją zobaczy. Paul usiadł na trawniku, ja też.

- Teraz, kiedy jest już skończona, może wybralibyśmy się do rezerwatu Indian i do kanionów. Latem są zamknięte, ale wiem, jak się tam dostać.

- Myślałam, że już nigdy tego nie zaproponujesz - wyrzuciłam z siebie. W tej samej chwili pojawiła się mama.

- Fantastyczna! Jak z bajki - zachwyciła się.

- Wau! - krzyknęła Kim i chciała wejść do środka.

- Czekał no! - zawołał Jim. - Nim farba nie podeschnie, niech nikt się nie zbliża.

- Ja już ich przypilnuję - obiecała mama.

Wstałam z trawnika.

- Paul chce mi pokazać rezerwat Indian i kaniony, mamó - zakomunikowałam radośnie.

- Wspaniale - powiedziała mama z uśmiechem. - Tylko...

- Tak? - zapytałam niepewnie.

- Weźmiecie ze sobą Kim.

- Ale...

- Żadnych ale - ucięła surowo. - Kim nudzi się jak mops, a ja chcę się przygotować do egzaminów, żeby jesienią zacząć studia wieczorowe. Będzie mi łatwiej uczyć się bez niej.

Cały czas płacze się pod nogami.

- Chętnie ją zabierzemy. Mój przyjaciel Joe Chino też się z nami wybiera. Ja nie znam tak dobrze kanionów jak on. Czasami oprowadza tam zimą wycieczki.

- Brzmi wspaniale. Mariah i Kim będą na pewno zadowolone. Przygotuję wam kosz piknikowy, będziecie mogli spędzić tam cały dzień.

Kim klasnęła w dłonie i zaczęła podskakiwać.

- Tak. tak. Ja chcę kurczaka, ciasto czekoladowe i banany.

Nie miałam, więc być sam na sam z Paulem, ale może to dobrze. Musiałam przyznać się przed sobą, że nie byłam jeszcze na to gotowa. Jeszcze nie teraz. Bałam się, czy potrafię prowadzić z nim długie rozmowy; nigdy nie byłam z żadnym chłopakiem tylko we dwoje.

- Możemy jechać jutro rano, jeśli nie masz innych planów. Wieczorem zadzwoniłbym do Joe'go. Musi dostać pozwolenie od swojego dziadka.

- Jego dziadek jest Indianinem? - zapytałam.

- Najprawdziwszym i jednym z najważniejszych w okolicy - powiedział Paul.

- Tym lepiej. Nie chciałabym, żebyście kręcili się gdzieś, gdzie was nie chcą - ucieszyła się mama.

Tego wieczoru napisałam do Elaine. Próbowałam opisać dom. Paula. Rozpisałam się o rezydencji Abbottów, ale kiedy przyszło wspominać o Paulu, zabrakło mi słów. Stropiona przeszłam do innego tematu.

Napisałam o książkach w mojej szafie i że może je czytać. Zwierzyłam się, że chcę zostać autorką romansów. Podpisałam się - „Do zobaczenia. Mariah Johnson'„ - i przykleiłam znaczek na kopercie w kwiatki. Teraz pozostawało tylko wrzucić ją do skrzynki na Skipalot Drive.

Kiedy rano wysyłałam list, nadszedł Paul. Pożyczył samochód swojej mamy, uznawszy, że jego wóz jest za mały, by pomieścić nas

wszystkich. Zauważyłam kiedyś na ich podjeździe lincolna. Wspomniałam o tym.

- To ukochany samochód mojego ojca - powiedział Paul z uśmiechem.

- Ja mam nissana. Świetny, ale nie na tę wyprawę.

Wskoczyłam do samochodu i boczną drogą podjechaliśmy pod ogrodową bramę rezydencji Abbottów. Musieliśmy jeszcze zapakować napoje i jedzenie. Na ścieżce pojawiły się mama i Kim.

- Macie tutaj wszystko: pieczony kurczak, melon, jabłka, banany, ser, chrupki, ciasto czekoladowe i termos z zimną lemoniadą.

Jim odłożył pędzel i pomógł nam się pakować.

- Starczyłoby i na tydzień, w razie byście się zgubili - powiedział ze śmiechem.

Kim wdrapała się na tylne siedzenie. Nic prawie nie widziałam w oślepiających promieniach słońca, kiedy odwróciłam się, żeby pomachać mamie i Jimowi na pożegnanie. Gdy powoli ruszyliśmy, zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w profil Paula. Szybko odwróciłam wzrok.

## ROZDZIAŁ 10

Paul był w znakomitym nastroju. Perspektywa zawiezienia nas do rezerwatu była dla niego pewnie taką samą przyjemnością, jak dla mnie pokazywanie gościom pływów i dorocznego konkursu budowania zamków z piasku. Kiedy odwiedził nas dziadek, który mieszka na Wschodnim Wybrzeżu, zaciągnęłam go o piątej rano na plażę i kazałam podziwiać surferów, ślizgających się na grzbietach wielkich fal. Nagle zapragnęłam móc pokazać ten widok Paulowi. Powiedziałam mu o tym, gdy jechaliśmy po Joe'ego Chino.

- Rozumiem. Sam pływam na desce. Co roku w lecie jeżdżę z rodzicami do Laguna Beach.

- Żartujesz! Tam właśnie mieszkam.

- Jaki ten świat mały. - Wyszczierzając zęby w uśmiechu i ścisnął mi dłoń. Poczulałam miły dreszcz. - Wynajmujemy tam dom, blisko Sand and Surf Hotel. Ojciec zostawia sklep pod opieką swoich asystentów i wyjeżdżamy na całe lato. Wszystkie wakacje spędziłem w Laguna Beach. W tym roku po raz pierwszy nie jedziemy.

- Dlaczego w tym roku nie?

Bywał w każde wakacje tak blisko mojego domu. i nigdy się nie spotkaliśmy.

Paul nie zdążył odpowiedzieć, bo podjechaliśmy właśnie pod maleńki, może dwuizbowy dom Joe'ego Chino. Z ganku pomachała do nas korpulentna kobieta z zielonym ręcznikiem owiniętym wokół głowy.

Miała wyraźnie indiańskie rysy, wyglądała jak wyjęta z książki podarowanej mi przez Paula.

Pomachała ponownie i uśmiechnęła się szeroko.

- Zaraz wyjdzie! - krzyknęła.

Po chwili w drzwiach pojawił się dużo niższy od Paula chłopak o ciemnej cerze, ale nie tak ciemnej jak skóra kobiety. Przez ramię przerzucony miał plecak w kolorze khaki, w takim samym odcieniu jak koszula i szorty.

Joe przedstawił się i usiadł na tylnym siedzeniu obok Kim; ta natychmiast zaczęła zameczać go nie kończącymi się pytaniami. Po przejechaniu mniej więcej dwóch mil Paul skręcił w boczną wyboistą drogę.

- Nie jest to droga, której używają turyści - wyjaśnił, kiedy samochód zaczął podskakiwać na wertepach. - Tamta jest płatna i odchodzi od Palm Canyon Drive. Wjazd kosztuje, ale warto zapłacić, żeby spędzić cały dzień w kanionach.

- A można rozbić namiot i przenocować? - dopytywała się Kim.

- Nie - odparł Joe. - W okolicach Palm Springs są cztery kaniony należące do Indian: Andreas, Palm, Tahquitz i Murray. Tahquitz i Palm to dawne święte miejsca indiańskich pochówków.

Teraz zjeżdżają tam ludzie z całego świata i wspinają się na skały, gdzie w jaskiniach mieszkali Indianie.

Paul zaparkował koło kilku palm obrosniętych wielkimi kaktusami.

- Dalej nie możemy jechać. To sekretne przejście. Kim.

Joe zaśmiał się.

- Okropnie jesteś tajemniczy. Paul, ale nie bez powodów kaniony są latem zamknięte: upały, zagrożenie pożarami i w ogóle. Żadna przyjemność. Przyznacie, że jest bardzo gorąco. Joe rozgarnął zarośla podniesionym z ziemi kijem. Zobaczyłam Przerwane druty kolczaste. W



ogrodzeniu była dziura na tyle duża. Żeby się przez nią przecisnąć. Ktoś, kto nie wiedział o przejściu, nigdy by go nie wytropił, nie dojrzał z drogi.

Joe poprowadził nas obok wysokiej, samotnej skały. Przez ogrodzenie przeciskaliśmy się pojedynczo. Znaleźliśmy się w zielonej dżungli, a mnie zaparło dech.

- To Andrea Kanion - oznajmił Joe, uśmiechając się z dumą.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego - powiedziałam zachwycona.

Paul zatrzymywał się przy każdym drzewie, krzaku, roślince i wymieniał ich nazwy: sykomora, olcha, dzikie winogrona, meskit, tamaryszek...

Słońce przedzierało się przez gałęzie, rysując na ziemi dziwne, poszarpane cienie. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jeszcze przed chwilą byliśmy na pustyni wystawieni na bezlitosny żar, by raptem znaleźć się w rajskim ogrodzie. Nie do wiary!

Gdzieś z oddali dochodził szum wodospadu. Spojrzałam na Paula.

- Pójdziemy do wodospadu. Spodoba się wam. Woda jest lodowata - powiedział, uprzedzając moje pytanie.

Joe i Paul poprowadzili nas znaną sobie ścieżką.

- Mnóstwo ludzi, którzy przyjeżdżają do Palm Springs. nie wytyka nosa poza pokój w motelu.

Żał mi ich, kiedy pomyślę, co tracą - rzekł Paul.

Przedzieraliśmy się przez gęste zarośla. Chłopcy torowali drogę. Wreszcie doszliśmy do szlaku turystycznego i po przejściu mniej więcej jednej mili dotarliśmy do wodospadu, pięknego i majestatycznego. Widzę go jeszcze teraz, gdy tylko zamknę oczy i przywołuję tamto wspomnienie.

- Jeszcze piękniejszy jest wodospad w głębi kanionu. Pójdziemy tam.

Jak nasza mała turystka?

Nogi nie bolą? - żartował Joe.

- Mogę iść wszędzie - oświadczyła Kim bohatersko.

Szliśmy dalej objuczeni jedzeniem. Po przejściu kolejnej mili Joe wskazał starą palmę.

- To Reina del Canyon. Królowa Kanionu, najwyższa palma w całym wąwozie. Związana jest z nią pewna legenda. Rośnie samotnie, pozbawiona brązowych „spódnic”, które mają inne palmy. Nikt nie wie, dlaczego. Prawdziwa zagadka. A tam widzicie Plotkarkę - ciągnął Joe, wskazując dużą płaską skałę. - Legenda powiada, że wzięła swoją nazwę stąd, że Indianki miały tu ziarno i plotkowały przy pracy. Możecie zobaczyć na niej wyżłobienia, jak po żarnach.

Dotarliśmy wreszcie do końca kanionu. Joe miał rację. Warto było tu przyjść. Woda spływała po skałach wielkimi kaskadami, lśniącymi w promieniach słońca, połyskującymi srebrzystymi refleksami. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknego widoku. Powinnam opisać go w którejś ze swoich przyszłych książek.

- Jak w niebie. Dzięki, że nas tutaj przyprowadziłeś - zwróciłam się do Paula.

- Wiedziałem, że się wam spodoba. - Skinął z uśmiechem, rad, że może się z kimś podzielić tym pięknem.

Kiedy na mnie spojrzał, poczułam dreszcz na całym ciele. Uklękliśmy i zanurzyliśmy dłonie w lodowatej wodzie. Smakowała cudownie. Piłam łapczywie.

Szliśmy dalej mijając pieczary, kryjące ślady przeszłości.

- Indianie Aqua Caliente traktowali te tereny nie tylko jako swoje letnie mieszkanie, mieli też tutaj pastwiska i ziemie uprawne - opowiadał Joe. - Któregoś lata. na krótko zanim plemię miało przenieść się do doliny, rozpętała się straszna burza. Woda zabrała wszystkie plony, zmyła ziemię ze skał. zostawiając tylko głazy i jałowy wąwóz.

- Mówiłeś, że jest kilka kanionów. Są podobne do tego? - zapytałam.  
Joe wziął kurze udko, wyjął serwetkę.

- Każdy jest inny w swoim pięknie. Tahquitz, położony ledwie półtorej mili od centrum miasta, jest na stałe zamknięty dla turystów ze względu na niebezpieczeństwo pożarów. Tam kręcono Zagubiony horyzont. Wodospad, który pojawia się w filmie, to właśnie wodospad Tahquitz.

- Ma aż trzydzieści metrów - dodał Paul. - Dość przerażająca wysokość.

Milczeliśmy, zajęci jedzeniem.

- Twoja mama dobrze gotuje - odezwał się po chwili Joe i sięgnął po następne udko.

- Dzięki. Będziemy mieli mniej do dźwigania - powiedziała Kim i roześmiała się, patrząc na Paula jedzącego banana.

- Taka wyprawa zaostrza apetyt - dodałam.

- W kanionie Murray zobaczyłybyście dzikie kucyki - powiedział Joe.

- Naprawdę dzikie, nie należą do nikogo? - zapytała Kim, wycierając usta.

- To prawdopodobnie potomkowie koni hodowanych niegdyś przez Indian - odparł Joe.

- Jej! - pisnęła Kim, otrzepała dzinsy i wstała.

- Wiecie, że można tu znaleźć broń i narzędzia sprzed dziesięciu tysięcy lat? - powiedział Joe.

- Są też gorące źródła mineralne - dodał Paul, gdy zaczęliśmy pakować resztki jedzenia.

- Kiedy otwiera się kanion dla turystów? - zapytałam Joe'ego.

- W październiku. Zależy, jak suche było lato. Zawsze jest groźba pożarów. Dla Indian to też był na pewno problem.

- A, jaki jest kanion Palm? - pytałam dalej.

- Wspaniały do fotografowania. Ludzie przyjeżdżają tam z różnych stron tylko po to. Żeby robić zdjęcia. Rośnie tam kilka tysięcy palm. A na dnie kanionu biją gorące źródła - opowiadał Paul.

- Chciałabym zanurzyć w nich stopy. - Uśmiechnęłam się na samą myśl o tym. - Moglibyśmy pojechać tam dzisiaj?

- Nie. Na taką wyprawę trzeba poświęcić cały dzień. Jeśli masz ochotę... - Paul zawiesił głos.

- Jasne. Całe lato przed nami - odparłam.

- Ja nie będę miał aż tyle czasu. W najbliższy poniedziałek idę do szpitala. Już i tak odkładałem termin - rzekł Paul, pomagając mi wspinać się stromą ścieżką. Przez jego twarz przemknął cień.

Staliśmy na skalnej platformie z widokiem na wodospad. Nie była tak duża jak Plotkarka, ale mogła pomieścić kilka osób. Paul usiadł, a ja obok niego.

- Chcę pokazać Kim pieczarę, którą odkryłem zeszłego lata. Idziecie?

- zawołał Joe.

- Za chwilę do was dołączymy! - odkrzyknął Paul.

- Dlaczego idziesz do szpitala? - zapytałam. Nie chciałam okazać się zbyt wścibska. A jeśli to coś, o czym wolałby nie mówić dziewczynie? Natychmiast pożałowałam swojego pytania.

- Nic wielkiego - odparł i zdjął tenisówki.

Zrobiłam to samo. Wyciągnęliśmy nogi i porównywaliśmy nasze stopy.

- Numer mniejsze od kajaka - powiedziałam mając na myśli swoje.

- A co ja mam powiedzieć? Numer mniejsze od lotniskowca? - Zaśmiał się. - Masz zabawne palce. Takie krótkie. Jakbyś biegnąc walnęła stopami w mur.

Podniosłam but i zdzieliłam go w głowę.

- Ejże. - Uchylił się ze śmiechem. - Daj spokój. To moja wina, że stopy są takie śmieszne, kiedy człowiek zacznie się im przyglądać? - Twarz mu spoważniała. - Usunięto mi już dwie cysty - powiedzie cicho. - Takie małe guzki, które rosną pod skórą. Ostatniej zimy wycięli mi jedną poniżej ucha, a potem drugą pod pachą.

- Okropne. - Wzdrygnęłam się. - Bardzo bolało?

- Cysta czy zabieg? Cysta nie boli. Ale rośnie. Najpierw jest maleńka jak ziarnko pszenicy, potem jak ziarnko grochu. Lekarz mierzy je podczas badania i decyduje, operować czy nie.

Podczas operacji nie czujesz nic, dopiero potem, kiedy przestaje działać znieczulenie.

Widzisz tę małą bliznę na szczęce? Został tylko niewielki ślad, ale w zeszłym roku była czerwona i wstrętna. Myślałem, że tak już zostanie.

- A ta operacja teraz? - zapytałam i poczułam się okropnie, że wtykam nos w nie swoje sprawy.

- Pod pachą. Tym razem pod prawą. W poniedziałek pójde do szpitala, a następnego dnia powinienem być już z powrotem w domu. Drobiazg. Pokłóciłem się strasznie z mamą o to, że odkładałam zabieg, ale to nie w porządku, że tracimy wakacje w Laguna. Uważałem, że szpital może poczekać - powiedział.

- Czas nie ma znaczenia? - znów wzdrygnęłam się. Cysty, guzki, wszystkie te słowa kojarzą mi się z rakiem.

Paul musiał zauważyć przerażenie na mojej twarzy.

- To naprawdę nic groźnego. Drobiazg - zapewnił i zaraz zmienił temat. - Mariah to dość niezwykle imię.

- Nie podoba ci się? - zapytałam, gotowa do obrony.

- Ależ nie. - Zaśmiał się. - Tyle, że niespotykane. Jak się je pisze?

Przeliterowałam je powoli, niepewna, czy się ze mnie na nabija.

- Kiedy mama była ze mną w ciąży, ojciec pracował w ubezpieczeniach, ale jego prawdziwą miłością był nasz lokalny teatr, w którym wystawiali sztuki i musicale. Mama mówi, że nie sposób go było stamtąd wyciągnąć. Tego wieczoru, kiedy się rodziłam, grali właśnie Painl Your Wagon i ojciec zamiast w szpitalu, tkwił w teatrze. Potem śmiał się, że nie był potrzebny, bo przy porodzie ważniejsza była obecność mamy. Tata śpiewał w chórze. Jedna z piosenek z tego spektaklu nosiła tytuł „Wiatr, który na imię miał Maria”, ale wypowiada się je tak jak moje imię - Mariah. Ojciec bardzo polubił tę piosenkę. Kiedy wreszcie dotarł do szpitala, poprosił mamę, żeby dała mi na imię Mariah. Dodali „h” na końcu, żeby nikt nie nazywał mnie przez pomyłkę Maria.

- Twój ojciec musi być niezwykłym facetem - powiedział Paul po chwili milczenia.

- O, tak - przytaknęłam, rada, że mam sposobność o nim opowiedzieć.

- Jest bardzo przystojny i utalentowany.

- Dlaczego nie przyjechał do Palm Springs?

Zawsze się na tym kończyło. O czym bym z ludźmi nie rozmawiała, koniec końców musiałam wyznawać, że moi rodzice są rozwiedzeni.

- Nie. Zostawił nas, kiedy skończyłam czternaście lat - mruknęłam wkładając buty, po czym zdecydowałam, że powiem mu wszystko i będę to miała za sobą. - Odszedł do innej kobiety.

Zamieszkali w małym miasteczku niedaleko Chicago, skąd ona pochodzi. Ojciec pracuje w Chicago, sprzedaje klimatyzatory.

- Nadal jest z nią?

- Nie. Śmieszna historia. Kilka dni temu weszłam do sypialni mamy po jej chustkę. Na łóżku leżał list od ojca. Chwyciłam go myśląc, że dopiero, co przyszedł. Okazało się, że był pisany w styczniu. Wyczytałam z niego, że romans się skończył i że ojciec chce do nas wrócić.

- A twoja mama nie chce?

- Jest chyba zbyt dumna, ale to tylko moje domysły. Nie wiem, dlaczego wyjęła ten stary list, pewnie czytała go ponownie. Ojciec błaga, żeby pozwoliła mu wrócić. Píše, że chce być dobrym mężem i ojcem. że chciałbym mieć jeszcze jedną szansę. Może mama się namyśliła?

- Byłam zaskoczona, że zwierzyłam się ze wszystkiego Paulowi, ale czułam się w jego towarzystwie tak dobrze, że słowa same popłynęły.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Paul miał zamyśloną minę, tak jakby i on zastanawiał się nad listem.

- Masz pewnie mnóstwo przyjaciół w Laguna - odezwał się wreszcie

i zmienił pozycję. - Musisz być bardzo lubiana.

Nagle ogarnął mnie strach. Jak mu powiedzieć, że nigdy nie byłam na prawdziwej randce? Z drugiej strony, przyznać, że wcale nie jestem lubiana, oznaczałoby przekreślić własne szanse w jego oczach.

Myślałam gorączkowo.

- Rob - wypaliłam.

- Słucham?

- Rzeczywiście mam wielu przyjaciół, ty na pewno też, ale jest jeszcze Rob. Spotykamy się od półtora roku. Na poważnie.

Było za późno. Moja wyobraźnia już się rozbrykała. Mogłam tylko dalej fantazjować z nadzieją, że Paul po kilku godzinach nie będzie pamiętał szczegółów.

- Rob Anderson. Jest troszeczkę wyższy od ciebie i ma... bardzo ciemne włosy i ciemne oczy... i... gra w nogę. Jest napastnikiem...

- Ważny gość - powiedział Paul powoli.

- O tak. bardzo ważny - kłamałam. - Chodzimy często do kina. i w ogóle.

- Ja też mam wypełniony czas. - Paul spojrzał w słońce przeświecające między gałęziami. - Bardzo wypełniony. Jean... też lubi chodzić do kina. Uwielbia filmy. Wybiera się do Berkeley jak ja.

Serce mi skoczyło jak oszalałe.

- Jean? - spytałam niepewnie. Ależ ze mnie idiotka. Paul jest taki przystojny. Musi mieć dziewczynę, może nawet kilka. Teraz wiedziałam, co robi wieczorami.

- Ma długie blond włosy i tak idealną cerę, że wcale nie musi nakładać makijażu, tylko odrobinę szminki - ciągnął, chociaż nie miałam



ochoty tego słuchać.

Rety! Ale Hollywood, pomyślałam z sarkazmem.

- Ma cudowny śmiech. Kiedy się śmieje, to jakby...

- To jakby dźwięczały uderzane o siebie kryształowe kieliszki? - zapytałam nie bez złośliwości.

Spojrzał na mnie zdziwiony i obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. W głębi duszy zawodziłam posępnie. Wreszcie ktoś się mną zainteresował, i masz, jest już zajęty! I to przez dziewczynę o wyglądzie gwiazdy filmowej.

Siedzieliśmy przez kilka minut bez słowa. W końcu gdzieś z oddali doszło mnie wołanie siostry. Wykrzykiwała coś o „śladach przeszłości”, które znaleźli. Bez wątpienia zapożyczyła określenie od Joe'go.

- Zanim wrócę, chciałbym ci opowiedzieć' o tej skale - szepnął Paul.

- To moja skała. Joe nic o tym nie wie. Myśli, że tylko z nim wyprawiam się do rezerwatu, ale przyjeżdżam tutaj zawsze, kiedy chcę coś przemyśleć w samotności.

Uśmiechnęłam się ciepło. A więc i on ma swoją skałę.

- Śmiejesz się ze mnie - obruszył się.

- Nie. nie - zapewniłam, dotykając jego ręki. - Któregoś dnia pokażę ci swoją skałę, na której przesiaduję i rozmyślam. - Obydwójce dostaliśmy ataku śmiechu.

Pod skałą pojawiła się Kim, wyciągała w naszym kierunku dłoń, w której trzymała jakiś kamień.

- Patrzcie. Joe mówi, że to najprawdziwszy grot! - wołała.

Dla mnie jej grot wyglądał jak każdy inny kamień, ale przyjąłam słowa Joe'ego za dobrą monetę. Powoli zaczęliśmy schodzić ze skały. Paul

trzymał mnie za rękę. Nadszedł czas wracać do domu. Zatrzymałam się na chwilę i obejrzałam na skałę Paula, na wydeptaną w trawie ścieżkę, na występy ułatwiające wspinaczkę.

Musi tu często przychodzić, mamy ze sobą wiele wspólnego, pomyślałam i przypomniałam sobie o Jean. Zastanawiałam się, czy wie o skale i czy Paul ją tu przyprowadził. Trudno, Jean, nie Jean. Paul jest moim przyjacielem, powiedziałam śmiejąc się w duchu i ruszyłam za resztą. Nie wiedziałam jeszcze, że następnym razem, gdy zobaczę skałę, śmiech zamieni się w łzy.

## ROZDZIAŁ 11

Następnego ranka zaraz po śniadaniu zadzwonił telefon. - Może masz ochotę pojechać ze mną do księgarni ojca porządkować książki? - Tak. Zapytam tylko, jakie mama ma plany - odparłam. Mama siała łożko. Powiedziała, że nie będę jej potrzebna. - Bardzo lubisz Paula, prawda? - spytała, kiedy miałam już wyjść z pokoju. - Chyba za bardzo to okazuję - bąknęłam czerwona jak rak. Po raz pierwszy przyznałam to na głos.

Podeszła do mnie i odgarnęła mi kosmyki włosów z policzka. - Powoli. Masz przed sobą całe życie - szepnęła.

Wiedziałam doskonale, co ma na myśli. Chciała mnie przestrzec, żebym się nie angażowała zbyt mocno, zbyt szybko. Rozumiałam ją. Dlaczego zatem tak spieszo mi było, dlaczego tak bardzo chciałam się z nim zaprzyjaźnić, od razu, natychmiast?

- Nie martw się o mnie. Muszę iść, czeka przy telefonie, jeszcze pomyśli, że o nim zapomniałam.

Co za głupie słowa. Tak jakbym kiedykolwiek mogła o nim zapomnieć. - Będę gotowa za pół godziny - rzuciłam do słuchawki z ziajaną. - Do zobaczenia - rzekł i się rozłączył. Przyjechał po mnie swoim srebrnym nissanem. - Podoba mi się ten twój samochód. Pieniądze to dobra rzecz, czasami - powiedziałam, zagłębiając się w fotel z czerwonej skóry.

- Nie dostałem go w prezencie - odparł Paul, kiedy ruszyliśmy Skipalot Drive, kierując się w stronę śródmieścia. - Od dziecka pomagam ojcu w księgarni. Wykonuję najróżniejsze zlecenia dla Abbottów. Ojciec nigdy mi nie płacił. Dostawałem kieszonkowe tylko wtedy, kiedy naprawdę bardzo potrzebowałem pieniędzy. Po maturze wręczył mi

srebrne pudełko. Myślałem, że jest w nim zegarek, a znalazłem kluczyki do tego cacka - oznajmił z dumą. - Wspaniały. Nie jechałam czymś takim. - Dotknęłam skóry siedzenia. - Jean też bardzo się podoba - rzekł nieoczekiwanie. Poczułam się tak, jakby ktoś wylał mi kubel zimnej wody na głowę.

- Aha. Rob ma tylko starego chevroleta, ale jeszcze na chodzie - mruknęłam, usiłując się opanować.

Podjechaliśmy pod księgarnię. Paul zaczął się rozglądać za wolnym miejscem do parkowania.

Krążyliśmy kawałek, aż wreszcie zobaczyliśmy odjeżdżający samochód.

- Mamy szczęście. - Paul zaparkował na wolnym miejscu.

Księgarnia prezentowała się imponująco. Półki podzielono na działy, w głębi sklepu było miejsce, gdzie klienci mogli wygodnie usiąść, przejrzeć wybrane książki albo po prostu odpocząć. Na jednym stoliku leżała srebrzysta taca z dzbankiem z kawą, na drugim mrożona herbata i oszronione lodem szklaneczki. Przed kominkiem stały dwie skórzane kanapy, kilka foteli i taboretów.

- Jak tu miło - powiedziałam. Paul machał właśnie dłonią do kobiety za ladą. Począł, aż skończy obsługiwać klienta, wszedł za ladę, ujął ją za rękę i przyprowadził do mnie.

- To Mariah Johnson, mamó. Mariah, to moja mama.

Pomyślałam, że opowiadał jej wcześniej o mnie. Inaczej dodałby jakieś wyjaśnienie, powiedział: „Dziewczyna, która mieszka u Abbottów”, czy coś w tym rodzaju. Pani Strobe uśmiechnęła się sztywno. Była dużo starsza, niż oczekiwałam. Musiała mieć ponad pięćdziesiąt lat.

Wyciągnęłam rękę. Z ociąganiem podała mi swoją. Poczułam, że się czerwienię, - Nie będziesz miała nic przeciwko temu. że pokażę Mariah sklep? - zapytał Paul udając, że nie zauważa mojego zażenowania i złych manier matki. Pani Strobe przywitała jakąś klientkę, do której zwracała się po imieniu, i jej wzrok znowu spoczął na mnie. Mówiła do Paula, ale patrzyła na mnie.

- Oczywiście, że nie, ale nie zapomnij, że dzisiaj po południu masz umówioną wizytę u lekarza. Musi ci pobrać krew przed poniedziałkowym zabiegiem.

Paul uderzył się dłonią w czoło.

- Rany, rzeczywiście zapomniałem - rzekł i zwrócił się do mnie: - Chciałem spędzić z tobą cały dzień, ale zaraz po lunchu będziemy musieli wrócić do domu. Tak mi przykro. Mariah.

Wiedziałam, że naprawdę mu przykro, czego nie można było powiedzieć o jego matce.

Najwyraźniej była zadowolona, że nasze spotkanie się nie uda. Zastanawiałam się, dlaczego.

Paul przedstawił mi następnie swojemu ojcu, siwowłosemu panu z miłym uśmiechem, w okularach o grubych, ciemnych oprawkach. Ujął serdecznie moje dłonie i przytrzymał chwilę.

- Paul opowiadał nam o twojej rodzinie - powiedział pan Strobe, a jego oczy uśmiechały się przyjaźnie.

Spodobał mi się. Miałam wrażenie, że i on mnie polubił. Kiedy formalnościom stało się zadość. Paul zaprowadził mnie do magazynu i wytłumaczył skomplikowany system inwentaryzacji, magazynowania, wyprzedaży i promocji.

- W Laguna Beach też mamy księgarnię - powiedział, wprawiając mnie w miłe zdumienie.

- Naprawdę? Która to?

- Book Notch. Nad oceanem.

Uśmiechnęłam się. Spędzałam tam całe godziny.

- Dlatego jeździmy tam każdego lata. Rodzice mogą doglądać interesów i jednocześnie odpoczywać nad oceanem. Pomagałam mu naklejać ceny na stercie książek kucharskich.

- Dlaczego z powodu takiego błahego zabiegu zepsuliście sobie całe wakacje? Mógłbyś pójść do któregoś ze szpitali w pobliżu Laguna i...

- Nasz lekarz wierzy w tutejsze. Poza tym tata powiedział, że raz chce spędzić lato w Palm Springs i zobaczyć, jak wygląda miasto oblegane przez turystów. Lubi swoich klientów, powiada, że brak mu tych. Którzy pojawiają się w księgarni latem - wyjaśnił Paul.

Znowu okazałam się wścibska, nie powinnam była zadawać tego pytania, ale odpowiedź Paula wcale mnie nie przekonała. Miałam dziwne uczucie, że coś się za tym kryje, a przy tym wiedziałam doskonale, że Paul mnie nie okłamuje.

Uporaliśmy się z książkami kucharskimi i zajęliśmy podręcznikami o naprawie samochodów.

Paul podał mi gruby tom na temat forda mustanga. Książka wysunęła mi się z rąk.

Nachyliliśmy się równocześnie i zderzyliśmy głowami. Zaczęliśmy się śmiać, wtem Paul ujął moją twarz w dłonie. Jego wargi musnęły lekko moje usta. Odskokczyliśmy od siebie, zdumieni tym, co się stało, po czym znów się złączyliśmy; tym razem w pocałunku nie było już niepewności.

Nasze ciała nie dotykały się, nie objęliśmy się. Tylko wargi spotkały się i po chwili rozdzieliły.

Książka o fordzie mustangu nadal leżała na podłodze. Paul schylił się i podniósł ją. Ja ciągle drżałam, widziałam, że Paul odkłada podręcznik niepewną ręką. Żadne z nas nie odezwało się, dopóki nie uporządkowaliśmy książek.

- Tutaj niedaleko jest barek, gdzie robią świetne kanapki. Co ty na to. Mariah? - zapytał, tak jakby chciał zmienić nastrój.

- Zachęcająca propozycja - powiedziałam drżącym lekko głosem. Nie doszłam jeszcze do siebie, oszołomiona moim pierwszym pocałunkiem. Nagle zdałam sobie sprawę, że kolana mi się trzęsą. Miałam nadzieję, że Paul nic nie zauważył.

Pomachaliśmy państwu Strobe na do widzenia i wyszliśmy z gwarnej księgarni. Paul trzymał mnie za rękę; czułam na plecach spojrzenie jego matki. Odprowadzana jej wzrokiem, miałam ochotę ruszyć biegiem, a przy tym czułam, że coś jest nie w porządku.

Zamiast zatrzymać się na lunch. Paul ruszył w stronę Skipalot Drive.

- Gdzie jedziemy? - zapytałam.

- Lepiej odwiozę cię do domu.

Wyjrzałam przez okno i przed restauracją zobaczyłam grupkę dziewcząt. Zrozumiałam.

Wśród nich musiała być Jean i Paul nie chciał, żebym się z nią spotkała. Może wygrałam z nią pomyślałam z satysfakcją.

- Mama nie musi pracować w księgarni, ale lubi to, lubi być zajęta, lubi ludzi - powiedział, kiedy dojeżdżaliśmy do domu.

Ja też jestem „ludź”, pomyślałam, dlaczego więc mnie nie polubiła?

Przemilczałam to jednak, bo czułam, że Paul nie chce o tym rozmawiać.

Podjechał pod boczną bramę rezydencji Abbottów i wyskoczył z samochodu, żeby otworzyć drzwi z mojej strony. Został nauczony, jak się zachowywać wobec kobiet, nie miał z tym żadnych kłopotów. Byłam ciekawa, czyjego mama wie, że z całowaniem też nie ma żadnych kłopotów.

Zatrzymaliśmy się w altanie.

- Farba już wyschła - powiedział, wyciągając rękę. by wprowadzić mnie po stopniach. Miałam uczucie, że jesteśmy parą z mojego marzenia. Objął mnie i siedzieliśmy tak w milczeniu bardzo długo, ciesząc się swoim towarzystwem. Pomyślałam o Jean. Czy porównywał nasz pocałunek z tymi, które wymieniał z nią?

- Coś nie tak? - zapytał.

- Nie - skłamałam. - Jak długo będziesz w szpitalu?

- Krótko, najwyżej dwa dni. Potem zrobią testy, tak jak po ostatniej operacji.

Przysunęliśmy się bliżej do siebie. Nasze włosy się stykały. Czułam na policzku ciepło jego oddechu. Gdybym obróciła lekko twarz, nasze usta znowu by się spotkały. Jaka byłam głupia, że tak się zamartwiałam pierwszym pocałunkiem. Ile razy się zastanawiałam, jak to będzie.

Czy będę potrafiła, czy będę wiedziała, co robić? Z Paulem wszystko było takie naturalne, jego usta doskonale pasowały do moich. Przez ułamek sekundy bałam się, że będzie się śmiał czując, jak drżą mi wargi, ale szybko się przekonałam, że jemu też drżą.

Odwróciłam się i Paul znowu mnie pocałował. Wymieniliśmy długi, długi pocałunek, a potem siedzieliśmy przytuleni w promieniach



popołudniowego słońca, szczęśliwi, że jesteśmy razem.

Paul zerwał się raptownie i spojrzał na zegarek.

- Co się ze mną dzieje? Znowu omal nie zapomniałem. Muszę uciekać, Mariah. - Wybiegł z altany.

- Do zobaczenia! - zawołał.

Patrzyłam, jak znika za bramą. Czułam jeszcze na wargach jego ciepły pocałunek.

## ROZDZIAŁ 12

Ranek, kiedy Paul poszedł do szpitala, nie różnił się niczym od innych letnich poranków w Palm Springs. Ptaki obudziły się wcześniej i zaczęły swoje świergoty, zza białych chmur wyrzało słońce, lśniące niczym wypolerowany krążek złota.

Z okna w zachodnim skrzydle widziałam, jak Paul wsiada do czerwonego lincolna swojego ojca. Widziałam też. dużą część ich domu.

Była to jednopiętrowa nowoczesna, rozłożysta rezydencja z fantastycznym basenem, okrągłym z kamienną platformą pośrodku, na której stał stół i cztery metalowe krzesła. Żeby się tam dostać, trzeba było dopłynąć albo przejść po drewnianej kładce, podobnej do tych, jakie spotyka się w japońskich ogrodach.

Widziałam wychodzącą z domu panią Strobe. Gdyby spojrzała w górę, przyłapałaby mnie na szpiegowaniu. Na szczęście nie podniosła głowy. Rodzice Paula mogliby być jego dziadkami, byli o tyle starsi od moich.

Strobe'owie bardzo długo czekali na dziecko. Doktorzy powiedzieli, że nie będą mieli. No i raptem stało się. Pani Strobe miała wtedy trzydzieści dziewięć lat, on czterdziestkę. Ale byli szczęśliwi! Pan Strobe stał obok żony. W eleganckim granatowym garniturze wyglądał jak bankier. Pani Strobe miała ładną jedwabną sukienkę i starannie ułożone włosy. Paul mówił mi, że do zeszłego roku farbowała je na rudo, aż wreszcie jego ojciec oświadczył, że lubi siwiznę, i matka przestała ją ukrywać.

Paul zadzwonił do mnie poprzedniego wieczoru i powiedział, że zabieg został przełożony na wtorek, bo w poniedziałek ma zostać poddany

dodatkowym badaniom. - Mam za mało żelaza we krwi czy coś takiego. Nic groźnego.

Mówił, że w środę po południu będzie już z powrotem w domu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. Miałam nadzieję, że się nie myli twierdząc, że to „nic groźnego”. Do sypialni weszła mama.

- Tu jesteś. Mariah. - Podeszła do okna. - Wyjeżdżają - powiedziała, dotykając mojego ramienia.

- Paul mówi, że wraca do domu w środę po południu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. Jak sądzisz, co mógł mieć na myśli? - zapytałam.

- Takie guzki mogą być złośliwe. Rak. Wtedy trzeba zmieniać sposób leczenia, żeby powstrzymać chorobę i zapobiec przerzutom.

Dlatego nie chcieli czekać, pomyślałam i odwróciłam głowę, żeby nie widzieć odjeżdżającego samochodu.

- Myślisz, że... że Paul może mieć raka? - Mówiłam tak cicho, że moje wargi ledwo się poruszały.

- Niekoniecznie. Niektórzy ludzie mają skłonność do guzów. Pamiętasz swoją cioteczną babkę Helenę. Usunęli jej chyba z dziesięć narośli i żadna z nich nie była złośliwa. Może z Paulem jest podobnie. Wygląda na zdrowego chłopaka, mimo że jest trochę za szczupły. Nie sądzę, żeby wywiązały się jakieś komplikacje. Strobe'owie są bardzo bogaci, stać ich na badania.

Paul to ich jedyne dziecko.

- A, więc wszystko dobrze się skończy - powiedziałam, odchodząc od okna. - Jeśli coś będzie nie tak. Strobe'owie mają dość pieniędzy, żeby opłacić drogie leczenie. - Moje myśli nie sięgały dalej.

Mama spojrzała na mnie jakoś dziwnie, otworzyła usta, żeby coś

powiedzieć, ale rozmyśliła się i pogłaskała mnie tylko po policzku.

- Posprzątaj w swoim pokoju. Mariah. Chcę, żebyś potem pomogła mi czyścić srebra. Jest tego mnóstwo.

Mnóstwo pieniędzy, powiedziałam przed chwilą. A jeśli to nie wystarczy? Jeśli nic starczyłoby wszystkich pieniędzy na świecie, żeby pomoc Paulowi? Zastanawiałam się, czy lęka się tak samo jak ja.

Poszłam do biblioteki pana Abbotta i przeglądając grzbiety książek trafiłam w końcu na to, czego szukałam. Przewracałam kartki encyklopedii medycznej, póki nie znalazłam hasła, którego szukałam. Nie miałam dotąd pojęcia, że jest tyle odmian raka. Odetchnęłam trochę po przeczytaniu fragmentów mówiących o tych, które są całkowicie uleczalne. Gdyby najgorsze okazało się prawdą, lekarze będą w stanie wyleczyć Paula. Kuracja jest nieprzyjemna.

Modliłam się, żeby nie musiał jej przechodzić.

Resztę dnia spędziłam pomagając mamie w kuchni. Wyczyściłyśmy wszystkie srebra, ale równie dobrze mogłabym przebywać na innej planecie. Milczałam cały czas. Polerowałam widelce. Nie znoszę tego. Trzeba uważać, żeby wyczyścić szpary między zębami. Miałam dziwne uczucie, że mama dała mi je specjalnie, by oderwać moje myśli od Paula.

- Chciałabym go odwiedzić - powiedziałam, wkładając ostatni widelec do aksamitnego woreczka.

- Nie możesz. Nie chcę, żeby ktokolwiek go niepokoił - sprzeciwiła się mama.

- Skąd wiesz? - zapytałam zdumiona.

- Rozmawiałam z panią Strobe przez telefon. Zadzwoiła tutaj, kiedy wybraliście się na cały dzień do rezerwatu. Była niezadowolona, że Paul

pojechał, mimo iż go prosiła, by został w domu.

- Nie wiedziałam. Nic mi nie powiedział. - Zaskoczenie ustąpiło zniecierpliwieniu. Pani Strobe traktuje Paula jak małego chłopca.

Mama skończyła układać aksamitne woreczki w dużym drewnianym pudle mieszczącym wszystkie srebra.

- Nie rozumiem tej kobiety. - Westchnęła. - Nigdy się spotkałyśmy, a jednak odniosłam wrażenie, że mnie nie lubi. Było coś takiego w jej tonie. Powiedziała mi, a właściwie oznajmiła, że Paul ma wyznaczony zabieg i że ona chce, by wiele odpoczywał. Odparłam, że gdybym o tym wiedziała, zatrzymałabym was w domu.

- Co mówiła o wizycie w szpitalu?

- To dziwne. Ja sama nic nie wspomniałam. Ona pierwsza z tym wyszła. Powiedziała, że jeśli zamierzamy odwiedzić jej syna, powinniśmy się dobrze zastanowić. Najpierw będzie miał mnóstwo badań, i nie sądzi, by po operacji miał ochotę przyjmować gości. Może po powrocie do domu. Uśmiechnęłam się. Przyjmować gości.

- To brzmi tak, jakby człowiek musiał zostawiać swoją wizytówkę w holu u lokaja. - Cieszyłam się, że mam w mamie cichego sprzymierzeńca.

- Nic bądź wredna. Ta kobieta martwi się przecież o syna. Paul jest ich jedynym dzieckiem, chronią go, jak mogą.

W czwartek dostałam list od Elaine. Czytałam go kilka razy, by wypełnić jakoś czas bez Paula.

*Droga Mariah*

*Uwielbiam Twój dom. Wszyscy jesteśmy nim zachwyceni - nawet chłopcy. Na prośbę mamy dodaję, że pilnuję, by urwisy nie narobiły szkód.*

*Początkowo nie mogłam spać, przeszkadzał mi szum fal, ale teraz kołyszą mnie do snu. Całą rodziną chodzimy codziennie na plażę, blisko Twojego domu, tam gdzie są sadzawki z wodą po przyptywach. Znasz to miejsce. Chłopcy taplają się tam godzinami. Widzieliśmy rozgwiezdy wyrzucone na brzeg przez fale; chłopcy przynieśli jedną do domu i schowali w szafie. Myślę, że chcieli zabrać ją ze sobą i powiesić na ścianie w swoim pokoju, no i narozrabiali. Mama przez kilka dni zastanawiała się, skąd w domu taki straszny fetor. Teraz już w porządku, bo spryskała wszystko lizolem.*

*Dzisiaj wieczorem będziemy piekli kielbaski na plaży, więc kończę, ale jeszcze muszę Ci powiedzieć, że zaczęłam czytać Twoje książki. Najbardziej podobała mi się ta o dziewczynie, która próbuje odkryć sekret rodziny jej męża. i kiedy idzie na strych, wchodzi szwagierka i chce ją zabić. Nie pisz mi, co będzie dalej.*

*Twoja Elaine Gretel*

*P.s. Paul Strobe musi być świetnym chłopakiem, ale nie piszesz mi chyba o nim wszystkiego.*

Siedziałam na ławeczce pod oknem i obserwowałam zachód słońca, a po zmierzchu koronkową konstrukcję altany. Myślałam cały czas o Paulu. Od czasu do czasu na powierzchnię wypływało imię Jean. ale próbowałam zepchnąć je gdzieś w ciemne zakamarki podświadomości. Może Jean odwiedziła go w szpitalu? Może jest bogata i dlatego pani Strobe patrzy na mnie niechętnym okiem? Przecież chce dla swojego bogatego syna wszystkiego, co najlepsze.

Kiedy tego wieczoru myłam zęby, z ustami pełnymi pasty powiedziałam dziewczynie w lustrze.

- To paskudne! Ona nie może tak myśleć. Musiałaby być strasznie ograniczona.

Dziewczyna z ustami pełnymi pasty roześmiała mi się w nos.

- Tak sądzisz? - mruknęła i zaczęła jeszcze energiczniej szczotkować zęby.

Wróciwszy do sypialni wzięłam pióro i zaczęłam pisać list do Elaine.

Jak Ci się mieszka w moim domu? Czy byłaś w Laguna i widziałaś te wszystkie eleganckie sklepy? Czy pływasz na desce, czy tylko się przyglądasz, jak ja? Jeśli lubisz wędkować, wybierz się do Huntington Beach. Jest tam też, moim zdaniem, największa biblioteka w okolicy. Musisz obejrzeć Queen Mary w Long Beach. Piszę, jakbym była z agencji turystycznej albo przygotowywała reklamówkę telewizyjną. Chyba powinnam zażądać prowizji.

Na mojej komódce znajdziesz pudełko na biżuterię, które zrobił mój ojciec, kiedy miałam trzy lata. W środku jest pisanka, którą Kim malowała w zeszłym roku: błękitna w srebrne gwiazdki. Wygląda jak niebo tutaj.

Błękitna. Dokładnie takiego koloru są oczy Paula. To chyba coś znaczy?

Tego samego wieczoru zapisałam w notesie:, Kiedy stoję obok niego, sięgam mu głową do ramienia. Ma ładne dłonie. Gdy pomagał mi wspinać się na skałę, wyciągnął rękę, żeby mi pomóc. Poczułam jej ciepło, siłę; miałam dziwne uczucie, że dopóki czuję dłoń Paula, nie spadnę.

## ROZDZIAŁ 13

Paula przywieźli do domu w piątek po południu. Spędził w szpitalu pięć dni, a nie dwa, jak mówił. Nie mogłam dłużej wytrzymać.

- Dzwonię do nich! - oświadczyłam mamie. - Muszę się czegoś dowiedzieć. Westchnęła ciężko.

- W porządku. Dzwon. Lepiej zadzwonić i narazić się na obrazę ze strony pani Strobe niż pozwolić Paulowi myśleć, że jest nam obojętny. O mało nie podskoczyłam z radości, kiedy to on odebrał telefon.

- Cześć - usłyszałam radosny głos dawnego Paula. - Wszystko poszło wyśmienicie. Żadnych problemów. Rękę mam na temblaku, ale nic mnie nie boli. Miałam ochotę krzyczeć z radości. Paul czuje się dobrze! Nie ma raka!

- Chciałbym, żebyś do mnie zajrzała. Teraz powinienem się zdrzemnąć... Powiedzmy o siódmej?

Na przemian ogarniały mnie fale zimnych i gorących dreszczy. To mnie. a nie Jean prosi, bym przyszła. Może widywał ją w szpitalu. Może zaprasza mnie na złość swojej matce. Wszystko jedno, jakimi kieruje się powodami: i tak tam pójde.

Długo szczotkowałam włosy - albo je powyrywam albo zacząć błyszczyć. Postanowiłam włożyć jedwabne granatowe spodnie i jedwabną niebieską bluzkę, do tego złoty pasek. Przejrzałam się w lustrze i zdecydowałam się na brązowe spodnie i bluzkę w łososiowym kolorze. Te też zrzuciłam. W końcu wybrałam pomarańczowy golf i dzinsy. Powoli ruszyłam po schodach, zawróciłam w pół drogi i włożyłam pierwszy lepszy, błękitny strój. Po wszystkich tych przebierankach spływałam potem i gdyby nie mama, która przypomniała mi że robi się późno,



wzięłabym prysznic i zaczęła ubierać się od początku. - Powinnaś zanieść prezent - powiedziała, wręczając mi ciasto czekoladowe w cytrynowej polewie, które upiekła po moim telefonie do Paula.

- Ummm. Dzięki, że zadałaś sobie tyle trudu - ucieszyłam się i pobiegłam na górę. Wybrałam jedną spośród moich książek. Chciałam opowiedzieć Paulowi o swoich planach literackich i żeby lepiej zrozumiał, co mam zamiar pisać, postanowiłam dać mu powieść ze swojej biblioteki.

Opowiadała o angielskim lordzie, który uwalnia niewolnicę ze statku. To akurat mógł opuścić, gdyby mu się nie podobało, ale opisy statku powinny go zainteresować. Wsadziłam książkę pod pachę i zbiegłam na dół.

- Już mnie nie ma! - krzyknęłam do mamy, otwierając z impetem drzwi.

- Dzięki Bogu. - Westchnęła i uśmiechnęła się z ulgą.

Na moje spotkanie zapowiedziane melodyjnymi, wielotonowymi powtarzającymi się dzwonekami wyszła sama pani Strobe. Cofnęłam się zaskoczona. Nacisnęłam guzik tylko raz.

Nigdy w życiu nie słyszałam podobnego dzwonka.

Stała w progu, jak zwykle wyniosła, ale w jej oczach malowało się zdziwienie.

- Tak? - powiedziała pytająco.

- Paul... mnie zaprosił - bąknęłam nieporadnie, próbując podać jej ciasto. Pani Strobe szeroko otworzyła oczy i cofnęła się krok.

- Och? - Jej głos podniósł się niebezpiecznie.

W holu pojawił się pan Strobe.

- Witaj, witaj. Mariah! Miło cię widzieć! - zawołał tubalnym głosem,

podchodząc do drzwi.

Podaliśmy mu ciasto.

- Co za miła niespodzianka - huknął dobrodusznie.

- Paul nie powiedział, że przyjdę? - wyjąkałam. - Myślałam, że uprzedził państwa. Pan Strobe ze śmiechem położył ciasto na stoliku i wyciągnął do mnie dłoń.

- Nie mieliśmy o niczym pojęcia, ale miło cię widzieć. To oznacza, że Paul czuje się lepiej.

W tej samej chwili w holu pojawił się Paul. Wzdrygnęłam się. Był taki blady i wychudzony.

Przez te kilka dni musiał stracić dwa, trzy kilogramy, ale uśmiechał się szeroko, a gdy wyciągnął do mnie rękę na powitanie, oczy błyszczały mu jak zwykle. Nie wypuszczał mojej dłoni mimo obecności rodziców.

- Dzięki, że przyszłaś. - Spojrzał mi w oczy. - Umieram z nudów.

Zagramy w tryk - traka albo posiedzimy i posłuchamy moich taśm.

Pani Strobe wprowadziła nas do ogromnego salonu. Wszystko nosiło tu piętno Wschodu: wazy, mahoniowe stoliki, serwantki pełne figurek, japońskie lalki. Nigdy nie widziałam nic równie pięknego. Weszliśmy po trzech stopniach do oranżerii; niby należała jeszcze do domu, ale poczułam się jak w ogrodzie ze szklanym sufitem. Wszędzie pełno było ogromnych roślin, a pod ścianami stały akwaria z kolorowymi rybami.

- To nasz pokój storczykowy - oznajmiła pani Strobe z dumą, wskazując na setki różnobarwnych orchidei.

Gdybym miała porównać panią Strobe do jakiegoś kwiatu, byłby to właśnie storczyk. Była jak one zimna, doskonała, snobistyczna, droga.

W kącie dostrzegłam kominek, największy, jaki dotąd widziałam. Na

gzymsie stało mnóstwo fotografii; większość przedstawiała Paula, od dzieciństwa do chwili obecnej. Bardzo mi się podobały. Pani Strobe z uśmiechem przyjęła moje zachwyty.

Raptem, jak spod ziemi, pojawiła się pokojówka, Nellie. Pan Strobe poprosił, żeby podała ciasto, które przyniosłam. Wróciła po kilku minutach, niosąc je na srebrnej tacy.

Zaproponowała kawę i herbatę, ale wszyscy wybraliśmy kawę. Pojawiły się lniane serwetki w srebrnych serwetnikach, a widelczyk do ciasta niemal mnie oślepił swoim blaskiem.

Doceniłam starania Nellie; potrafiła dbać o rodzinne srebra.

Siedzieliśmy na ratanowych meblach; pan Strobe na wygodnym krześle. ja i Paul na małej kanapce, a pani Strobe w rozłożystym fotelu. Rozmowa zeszła na rezerwat.

Pan Strobe przez chwilę mówił o historii Indian i o lokalnej społeczności Palm Springs.

Opowiedział mi o sędzi Johnie Guthrie McCallumie, prawniku z San Francisco, który pojawił się w okolicy około 1884 roku. Dowiedział się o tym miejscu od przewodnika i tłumacza. Indianina imieniem Bill Pablo. Zamieszkał najpierw w San Bemardino, a przywiodła go tutaj nadzieja uratowania życia syna.

- Co mu było? - zapytałam.

- Jego syn, John, zachorował w czasie epidemii tyfusu, która wybuchła w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku - mówił pan Strobe. - Sędzia uznał, że powinni zamieszkać w suchym, gorącym klimacie. W ten sposób został pierwszym białym mieszkańcem osady, która miała dać początek Palm Springs.

- Dlaczego biblioteka miejska nie nosi jego imienia? - zapytałam mając nadzieję, że nie robię z siebie idiotki.

- Trafna uwaga - przyklasnął pan Strobe. - Kiedy McCallum tu zamieszkał, namówił pewnego dziwaka, Szkota nazwiskiem Welwood Murray, by i on się tutaj przeniósł, Murray z żoną założyli tu pierwszy hotel, The Palm Springs Hotel. Bibliotekę nazwano jego imieniem.

Paul zaczął się śmiać.

- Wiesz, co zrobił? Wynajął Indianina, ubrał go w strój Araba, posadził na wielbłądzie i tak kazał witać na stacji Seven Palms podróżnych, którym Indianin - Arab wręczał ulotki reklamujące Dolinę Palm i hotel Palm Springs.

- Fascynująca jest historia tej okolicy - wtrącił pan Strobe.

- Chciałbym wziąć Mariah na przejażdżkę kolejką - zwrócił się Paul do matki.

Pani Strobe nie odezwała się słowem od początku rozmowy. Teraz nagle spojrzała na syna; dłoń z filiżanką kawy zawisała w powietrzu.

- Nie wolno ci się forsować. Paul. Jesteś po operacji, przyrzekłam lekarzom, że...

- Oczywiście - przerwałam jej i zerknęłam Paula: - Powinieneś słuchać matki, ona wie najlepiej. - Wyczytałam w oczach pani Strobe troskę o syna. Próbowала mi coś powiedzieć.

Kiedy jej przerwałam, zeszywniała, ale teraz widziałam, że jej oczy mówią mi „Dziękuję”.

- Czuję się świetnie - zaprotestował Paul, po czym wstał i zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami. - Lato mija i ani się obejrzymy, a będę musiał wyjeżdżać, Mariah wróci do domu i...

Teraz pani Strobe mu przerwała:

- Musisz wybaczyć mojemu synowi. - Patrzyła prosto na mnie. - Operacja się udała, ale minie trochę czasu, zanim odzyska siły. Od tego może zależeć jego zdrowie.

- Ejże, ejże - wtrącił pan Strobe i podniósł dłoń, chcąc położyć kres dyskusji. - Paul wie, co robi. Mariah nie przyszła tutaj słuchać, jak cackamy się z synkiem, Betty. Zostawmy ich może samych?

Pojawiła się Nellie i sprzątnęła naczynia. Pan Strobe powiedział, że chce obejrzeć jakiś program w telewizji i że obydwójce będą u siebie, po czym wyszli.

- Chodź. Mariah, idę o zakład, że pokonam cię w tryk - traka. - Paul chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Jego pokój pełen był książek. Nastawił taśmę i usiedliśmy w kąciku przeznaczonym specjalnie do gry w tryk - traka. Kiedy zobaczyłam grę, spanikowałam.

- Wygląda na to, że spędzasz przy grze całe godziny. I ty chcesz, żebym była twoim przeciwnikiem?

Ze śmiechem podał mi pionki. Graliśmy przy łagodnej muzyce, a nasze dłonie zetknęły się, kiedy sięgnęliśmy równocześnie po damkę. Nie wstając, nachylił się i pocałował mnie w policzek.

- Myślałem, że to sen. W szpitalu wydawało mi się cały czas, że sobie ciebie wymyśliłem i że kiedy wrócę do domu, marzenia prysną. Ale jesteś tutaj, a ja wracam do zdrowia. - Oczy błyszczały mu radością.

- Nie kłóć się z matką. Paul - powiedziałam. Naprawdę tak myślałam.

- Tyle jeszcze mamy do zobaczenia!

- Czasu też mamy mnóstwo. Nawet, jeśli nie przejadę się kolejką, zawsze mogę tu wrócić, przyjechać samochodem.

- Będę w Berkeley.

- A wakacje?

Wstał z miejsca i podszedł do fotela, w którym siedziałam.

- Zachowasz je dla mnie? Co z Robem?

Odruchowo przysłoniłam usta dłonią. Rob. Zapomniałam o nim zupełnie.

- On się nie liczy. Jest nikim - przyznałam.

Paul miał stropioną i nieszczęśliwą minę.

- Nie możesz mówić o facecie, że jest nikim. Spędziłaś z nim mnóstwo czasu. Jesteś mu winna wyjaśnienie, rozumiesz?

- Chwileczkę. Paul - przerwałam mu, dając upust złości i zazdrości. - A co z Jean? Jak możesz siedzieć tutaj, całować mnie i prosić, żebym spędziła z tobą wakacje? Masz zamiar z nią zerwać? Ot tak, po prostu?

Popatrzyliśmy na siebie gniewnie. Nasza pierwsza prawdziwa kłótnia. Wreszcie po długiej chwili milczenia Paul się odezwał:

- Mariah, chciałem ci powiedzieć...

- Poczekaj. - Nie dałam mu dokończyć. - Posłuchaj, przykro mi. Paul, ale musiałam tak zrobić.

Nie chciałam, żebyś myślał, że nie mam powodzenia i że nigdy nie miałam chłopaka, że nikt nigdy mnie nie całował. Ja... ja wymyśliłam Roba.

Zawstydzona odwróciłam głowę. Wtem usłyszałam gwałtowny śmiech Paula. Zanosił się.

odchyliwszy do tyłu głowę.

- Wie, że to śmieszne. Wiem, że zrobiłam z siebie idiotkę, ale nie musisz tak ryczeć. - Byłam zła, dotknięta do żywego i nie starałam się tego ukrywać.

Próbował się opanować, ale jeszcze przez chwilę chichotał jak wariat.

- To... tak... jak z... z Jean - wydusił wreszcie wstrząsany śmiechem.

- Ona też nie istnieje. Wymyśliłem ją dokładnie z tych samych powodów!

W pierwszej chwili zdjęła mnie wściekłość. Jak mógł mnie tak oszukać? Natychmiast pomyślałam o własnym kłamstwie i też wybuchnęłam śmiechem. Zanosiliśmy się tak, że brzuch mnie rozboleł. Raptem zamilkliśmy i znalazłam się w ramionach Paula. Przytulił mnie mocno tak, że czułam gwałtowne bicie jego serca.

- Mariah - szepnął. - Mariah. Dostyc grania. Żadnych kłamstw.

Potrzebujemy siebie. Kocham cię taką, jaka jesteś. Myślę, że ty też.

- Tak - powiedziałam cichutko i mocno go objęłam. Pocałował mnie.

- Odprowadzę cię do domu, czy mamie będzie się to podobało, czy nie. Nie chciałam, żeby się przemęczał, ale równie mocno nie chciałam się z nim rozstawać.

Poszliśmy powoli przez rozgwieżdżoną noc. a ja pragnęłam, by nie metry, lecz kilometry dzieliły jego dom od domu Abbottów.

- Zostawiłam ci coś w twoim pokoju. To książka. Chciałabym pisać podobne. Jak ją przeczytasz, przejrzysz choćby, będziesz miał pojęcie...

Paul zatrzymał się.

- Nie wiedziałem, że chcesz pisać. Nigdy o tym nie mówiłaś.

- To coś, co powinieneś o mnie wiedzieć.

- Od jak dawna piszesz?

- Od, kiedy wychowawczynie w przedszkolu pokazała mi, jak składać litery. Zawsze chciałam pisać, ale chcieć, a robić coś, to dwie różne rzeczy... Tak naprawdę zaczęłam dwa i pół roku temu.

- O jakich myślisz książkach?

- Ta, którą ci dałam, to gotycka powieść grozy. Uwielbiam je.

Staliśmy przed boczną bramą rezydencji Abbottów.

- Zdradzę ci sekret, jeśli przyrzekniesz, że nikomu nie piśniesz słowa

- rzekł Paul.

Poszliśmy do altany. Wyglądała tak romantycznie w świetle księżyca.

- Przyrzekam - obiecałam, kiedy usadowiliśmy się wygodnie na ławeczce.

- Mój ojciec pisze. Od dziesięciu lat wydaje książki pod różnymi nazwiskami. Bardzo dobrze się sprzedają. Prawdziwą radość ma wtedy, kiedy słyszy, jak ludzie rozmawiają o nich w księgarni. Wdaje się w długie dyskusje z klientami, cieszy się z komentarzy i opinii. Wie, że są prawdziwe, bo ci, którzy je wypowiadają, nie mają pojęcia, że rozmawiają z autorem.

Byłam zafascynowana.

- Niesamowite! Wspaniałe!

- W każdym razie, jeśli napiszesz coś, co chciałabyś mu pokazać, na pewno chętnie przeczyta i udzieli ci wskazówek.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, oddychając czystym pustynnym powietrzem i patrząc w aksamitne, czarne niebo rozjarzone cekinami gwiazd.



- Wiem, że siedzą tam i czekają na mnie. Mariah - powiedział wreszcie. - Niech wreszcie lekarze dadzą mi świadectwo zdrowia, żebym mógł żyć dalej w spokoju. - Porozmawiam z nimi o wycieczce kolejką.

Zobaczę, co się da zrobić - obiecał, obejmując mnie.

Moje usta dotknęły jego warg w miękkim pocałunku, aksamitnym jak skrzydła motyla, którego kiedyś trzymałam. Ale motyl żyje krótko - widziałam, jak umiera mi na ręku.

Księżyc skrył się za chmurą. Pociemniało, kiedy się żegnaliśmy.

## ROZDZIAŁ 14

Telefon od pani Strobe kilka dni później był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Odebrała mama. Przesłaniając słuchawkę dłonią zwróciła się do mnie: - Mówi, że Paul może jechać na wycieczkę, chce wiedzieć, kiedy możesz się z nim wybrać? - Może jutro? Tak, jutro, zanim cofnie zgodę - powiedziałam szybko, opanowując zdumienie. Mama podała mi słuchawkę.

- Jutro jestem wolna - odezwała się drżącym, łamiącym się głosem.

- Wyśmienicie - ucieszyła się pani Strobe, ale brzmiało to bardzo chłodno i oficjalnie. - Do widzenia. Chciałam tylko osobiście przekazać ci, że nie mamy żadnych zastrzeżeń. Podziękowałam i odwiesiłam słuchawkę.

- No proszę, pani Strobe zgodziła się wreszcie, żeby pisklę wyfrunęło z rodzinnego gniazda i rozpostarło skrzydła - skomentowała mama.

Nie rozumiałam matki Paula. Kochała go tak bardzo, że jej miłość stawała się dla niego ciężarem. Moja mama była zupełnie inna. Czułam, jak bardzo kocha mnie i Kim. ale nie miała w sobie nic z nadopiekuńczej kwoki.

Kiedy Kim uczyła się chodzić, z całych sił trzymała się palca mamy, przerażona, że ta za chwilę ją puści. Mamie wcale się to nie podobało, wpadła, więc na znakomity pomysł. Trzymała w dłoni spinacz do bielizny i Kim chwytala się go. Kiedy nabrała pewności, że mała jest w już stanie chodzić o własnych siłach, pozwalała jej wędrować ze spinaczem w łapce. Kim chodziła z nim, przekonana, że trzyma się palca. Mama ofiarowała jej coś, co dawało poczucie bezpieczeństwa. Po pewnym czasie spinacz nie był już potrzebny. - Kim będzie chciała jechać z nami. - Zabierałam ją wszędzie ze sobą, ale tym razem nie zamierzałam się zgodzić.

Mama siedziała przy kuchennym stole, rozłożyła książki i przygotowywała się do egzaminu wstępnego. Podniosła głowę.

- Tym razem nie musisz jej brać - powiedziała z uśmiechem, a ja myślałam, że umrę z radości. - Kiedy byłaś u państwa Strobe, zadzwoniła matka Judy. Mają przyjechać do nas w niedzielę i we trzy wybierzemy się na przejażdżkę kolejką. - Wstała, nalala kawy i postawiła przede mną filiżankę. - Przykro mi, ale tym razem będziecie musieli jechać... sami.

Poczułam się tak, jakby mama zostawiła mnie wreszcie ze spinaczem w dłoni, sama zaś się wycofała. Ufała mi w pełni. Wiedziałam, że nie mogę sprawić jej zawodu.

O ósmej rano następnego ranka Paul zapukał do drzwi kuchennych.

- Przynoszę dary - oznajmił, kiedy mu otworzyłam.

- Słucham?

- Nie dla ciebie, dla Kim - powiedział z uśmiechem. Moja siostra pojawiła się natychmiast jak spod ziemi.

- Słyszałam swoje imię! - wrzasnęła.

- Cicho bądź, bębenki pękają - napomniałam ją. Paul podał jej paczkę.

- Widziałem twoje książki do kolorowania. Pomyślałem, że bardzo je lubisz, ale powinnaś zacząć sama rysować, zamiast kolorować czyjeś rysunki.

W progu kuchni stanęła mama. Musiała słyszeć słowa Paula.

- Przyniosłem ci blok rysunkowy, kredki, węgiel do rysowania i kilka innych rzeczy: komplet pędzelków, akwarele i podręcznik o sztuce.

Z drugiej torby wyjął blejtramy z naciągniętym płótnem. Obiecał, że jeśli obrazki będą ładne, sam je oprawi.

Kim patrzyła na to wszystko wielkimi oczami, z zachwyconą miną. Raptem z wielkim krzykiem rzuciła się Paulowi na szyję i ucałowała go mocno w policzek.

- Dziękuję, dziękuję. - Mogłabym przysiąc, że miała łzy w oczach.

Paul podbił kolejną przedstawicielkę rodziny Johnsonów, pomyślałam, uśmiechając się do siebie. Można było z całą pewnością powiedzieć, że teraz kochałyśmy go wszystkie trzy.

Wybiegliśmy z domu, gotowi na przywitanie wspaniałego dnia.

- Ona panno, chcesz azali dzień przepędzić z wiernym swym niewolnikiem, nie posmakowawszy bogactw, które mógłby ci ofiarować pan na włościach Strobe? - zapytał, naśladowując język powieści, którą mu zostawiłam.

- Ty wariacie! Przeczytałeś? Naprawdę przeczytałeś! Co myślisz? - zawołałam ze śmiechem.

Otworzył przede mną drzwi samochodu.

- Siadźże w powozie, o nieustraszona, a poznasz gorącą namiętność, co rozpala mą pierś włochatą.

Czekałam, aż wsiądzie. Moja torebka z grzebieniem, szczotką, chusteczkami i szminką była dość ciężka. Zdzieliłam go w głowę.

- Naprawdę nieustraszona! - krzyknął usiłując się bronić. Ruszyliśmy z rykiem silnika, zaśmiewając się jak małe dzieci. Nasz dzień się zaczął.

Zabrałaś sweter? - zapytał, kiedy w końcu się uspokoiiliśmy. - Tam na górze jest o kilkanaście stopni chłodniej.

Niewiarygodne! Taka zmiana temperatury po raptem piętnastu minutach jazdy kolejką.

Skręciliśmy w Tramway Road i zaczęliśmy się piąć w górę.

- Dojedziemy do parkingu, tam przesiądziemy się do autobusu.

Dalej szosa jest zbyt stroma dla samochodów. Zobacysz beczki z wodą na poboczu, bo chłodnice często się przegrzewają podczas jazdy - wyjaśniał Paul.

Dotarliśmy na zatłoczony parking. Byłam zdumiona, że tyle ludzi ma zamiar spędzić dzień tak samo jak my.

- Powinnaś zobaczyć, co się tutaj dzieje w okolicach Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia.

Taki tłok, że wydają numerki i wzywają kolejnych pasażerów, żeby zajmowali miejsca w kabinie - powiedział Paul, kiedy usadowiliśmy się w autobusie.

Autobus rzeził i stękał, pnąc się w górę. Wreszcie dotarliśmy do kolejnego parkingu.

- Jesteśmy na wysokości siedmiuset osiemdziesięciu metrów. - Paul wskazał znak umieszczony opodal.

Skinęłam głową; już odczuwałam zmianę temperatury. Weszliśmy na stację i podeszliśmy do kasy. Wszędzie pełno było ludzi, niektórzy stali przy oknach wyglądając zjeżdżającej z góry kolejki.

- Kursuje co pół godziny. Jedna zjeżdża, druga w tym czasie jedzie do góry. Chodź na zewnątrz, popatrzymy.

- Ile osób mieści się w jednym wagoniku? - zapytałam.

- Około osiemdziesięciu. Można też zabrać ze sobą sprzęt kempingowy albo narty. Ostatniej zimy wjeżdżaliśmy z Joeyem z nartami, a latem dwa razy rozbijaliśmy namiot na górze - rzekł Paul.

Czekałam z lękiem, kiedy pojawi się wagonik zawieszony nad przepaścią.

- Nie wiem, czy chcę jechać - odezwałam się słabym głosem.

- A jeśli spadniemy albo, jeśli liny się zaplączą?

Paul roześmiał się.

- Będiesz dobrą pisarką. Większość pisarzy to ludzie, którzy bez przerwy myślą „co będzie jeśli”.

Dałam mu szturchańca w żebra.

- Nie powiesz mi, że sam się nie boisz wsiąść do tego czegoś, choćbyś jechał tym Bóg wie ile razy.

Paul zaśmiał się znowu i złapał mnie za rękę.

- Właśnie zjeżdża. Chodź, spróbujemy się jakoś wcisnąć.

Musieliśmy być pasażerami numer siedemdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt, bo bramka zamknęła się zaraz za nami. Wsiadliśmy jako ostatni do kanarkowo - żółtego wagoniku.

- W tej samej chwili z góry zaczyna zjeżdżać taki sam wagonik, spotkamy go dokładnie w połowie drogi - powiedział Paul, a mnie przeszedł dreszcz. Nie przyznał się, ale mogłam iść o zakład, że i on miał lekkiego stracha.

Kolejka ruszyła, nie mogłam się już rozmyślić. Ku mojemu zdumieniu, byłam chyba jedyną osobą w wagoniku, która się bała. Reszta śmiała się, rozmawiała, niektórzy mieli ze sobą sprzęt kempingowy, lornetki i kamery. Widząc ich bez troskę, trochę się odprężyłam.

- Szkoda, że nie zabrałam ze sobą aparatu fotograficznego - mruknęłam.

Z głośnika rozległ się męski głos. Przewodnik opowiadał o widokach i przekazywał różne informacje:

- Kolejka pracuje w systemie dwuwahadłowym, ma dwa wagony,

które przemieszczają się każdy po własnych linach. Jest to największa dwuwahadłowa pasażerska kolej linowa na świecie. Została uruchomiona we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

Spojrzałam na Paula.

- Mam zatkane uszy. Ty też?

- Jeszcze nie. Przełknij ślinę. Masz, weź gumę do żucia. To powinno pomóc - poradził.

- Wsiądą państwo na Górnej Stacji położonej dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt pięć metrów nad poziomem morza.

Dokładnie w połowie drogi minęliśmy wagonik, który zjeżdżał w dół. Pasażerowie zaczęli machać do siebie: wymienialiśmy uśmiechy.

- I tak cały czas, w górę i w dół, w górę w dół - powiedziałam. - Zastanawiam się, ile osób...

- Nasza kolej. Crocker & Coffman, od nazwisk jej założycieli, przewiozła ponad dwa miliony turystów w magiczną krainę gór, czyniąc w ten sposób marzenia rzeczywistością - usłyszałam z głośnika.

- Masz odpowiedź na swoje pytanie - powiedział Paul i obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem.

Miałam już zupełnie zatkane uszy, zaczęłam intensywniej żuć gumę. Spoglądałam na skaliste zbocza gór porośnięte lasami iglastymi.

- Jak oni wciągali tak wysoko materiały na wsporniki? - zapytałam Paula.

- Helikopterami. Widziałem kiedyś film dokumentalny o budowie kolejki, który wyświetlają na Górnej Stacji.

Stopniowo zmieniały się kolory zieleni porastającej zbocza. Daleko w dole po stoku przemknęło jakieś małe zwierzę.

- Jak tu pięknie - szepnęłam.

- Już się nie boisz? - zapytał Paul ze śmiechem i przytulił mnie.

- Odrobinę - przyznałam. - Ale zaczynam się przyzwyczajać.

Dotarliśmy do okazałego budynku Górnej Stacji. Wagonik zatrzymał się, pasażerowie zaczęli wysiadać. Trzymając się za ręce wyszliśmy na peron. Znaki wskazywały drogę do Restauracji Alpejskiej, do sklepu z upominkami i do salonu gier położonego o poziom niżej. Przeszliśmy przez dużą halę i znaleźliśmy się na zewnątrz.

- Pójdziemy jednym ze szlaków turystycznych, a jak się zmęczysz, wrócimy, żeby coś zjeść.

Staliśmy na początku szlaku wiodącego w dół. krętą ścieżką między świerkami. Wokół panowała cisza, słychać było tylko śpiew ptaków i radosne głosy dzieci. Gałęzie drzew kołysały się niczym ciężkie aksamitne zasłony.

- Tak tutaj pięknie. Paul - szepnęłam cichutko w obawie, że czar pryśnie. - Nie potrzebuję aparatu. Zapamiętam ten dzień do końca życia.

- W zimie jest tutaj zupełnie inaczej. Wszystko przykrywają wielkie czapy śniegu. - Paul wziął mnie za rękę i pociągnął na szlak.

Patrzyłam pod nogi, żeby nie potknąć się o wystające korzenie, i wtedy go zobaczyłam małego białego - niebieskiego ptaszka. Kiedy przyklękłam, żeby przyjrzeć mu się bliżej, zrozumiałam, że jest martwy, Paul przykucnął obok mnie.

- Musiał umrzeć niedawno. Ciało jest jeszcze ciepłe - powiedział.

- Biedne maleństwo. Był jeszcze młodziutki. Dlaczego nie żyje?

- Myślę, że nadszedł jego czas. - Paul wstał. - Pochowajmy go, Mariah. Po co ma go zjeść jakiś zwierzak. - Znalazł ostry odłamek skały i



patyk. - Tym wykopiemy mu grób.

Pracowaliśmy przez chwilę przygotowując miejsce spoczynku dla ptaka. Kiedy dołek był już wystarczająco głęboki, wyciągnęłam z torby starą chustkę. Używałam jej zawsze na plaży do wiązania włosów.

- Owiniemy go w to. Powinien mieć jakiś całun czy coś w tym rodzaju - powiedziałam.

Rozłożyłam spłowiała żółtą chustkę, a Paul położył na niej ptaszka i owinał go starannie, po czym umieścił zawiniątko w dołku. Zasypaliśmy go razem. Paul przydeptał mocno ziemię stopą. Był to dziwny, ale piękny moment, który na zawsze wyrył mi się w pamięci.

O chodziliśmy szlakiem w dół.

- Czy straciłaś kiedyś kogoś, kogo bardzo kochałaś? To znaczy, czy przeżyłaś śmierć kogoś bliskiego? - zapytał Paul, odrzucając w końcu patyk.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Nie. Miałam babkę cioteczną, która umarła kilka miesięcy temu, ale prawie jej nie znałam.

Było mi smutno, to jasne, ale nie mogę powiedzieć, że ją kochałam. Nie, nie przeżyłam śmierci nikogo z najbliższych, ale wiem, że któregoś dnia taki moment nadejdzie.

Paul milczał. Szlak wił się, odsłaniając coraz piękniejsze widoki.

- Miałem psa - odezwał się w końcu. - Takiego śmiesznego mieszańca spaniela z pudlem.

Wyglądał jak stara wycieraczka. Przybłąkał się do nas, kiedy miałem cztery lala. Mama go zatrzymała. Był moim najwierniejszym przyjacielem. - Pewnego dnia, kiedy był już stary i na wpół ślepy pobiegł

za samochodem i dostał się pod tylne koła. Umarł na moich rękach, spoglądając na mnie wielkimi brązowymi oczami, jakby pytał, co się stało.

- Tak mi przykro - szepnęłam.

- Mieszkał wtedy z nami mój dziadek, ojciec mojego ojca, wspaniały człowiek.

Przyjeżdżaliśmy tutaj razem, chociaż miał już ponad osiemdziesiąt lat. Chodziliśmy po szlakach, a ja zapomniałem, jaki jest stary. - Kiedy mój pies umarł, byłem okropnie nieszczęśliwy. Nie jadłem i nie piłem. Matka nie wiedziała, jak mnie pocieszyć. Wtedy dziadek przywiózł mnie tutaj po raz pierwszy. Usiedliśmy pod wielkim świerkiem nad potokiem i zaczął ze mną rozmawiać. - Szkoda, że nie mogłaś go poznać. Był wysoki i silny, niemal do samego końca. Siwa czupryna opadała mu na oczy, gdy wędrowaliśmy tym szlakiem.

Paul odgarnął gałęzie świerku blokujące przejście i zobaczyliśmy potok, o którym mówił. Od dłuższej chwili słyszałam plusk wody spływającej w dół po kamieniach, ale nie miałam pojęcia, że jest tak blisko. Paul zdjął buty i wszedł do strumienia.

- Chodź, zobaczysz, jakie to wspaniałe uczucie! - zawołał.

- Czy dziadkowi udało się pocieszyć cię, kiedy tu przyjechaliście? - zapytałam, idąc w jego ślady. Miał rację, woda była wspaniała.

Paul pochylił się i podniósł lśniący kamyk.

- Tak, ale nie chodziło o miejsce, tylko o to, co mi powiedział. Tłumaczył, że ludzie tak naprawdę nie umierają, jeśli tylko zachowujemy ich w pamięci. Jeśli myślimy o nich czasami, pozostają z nami na zawsze, żywi.

- Co masz na myśli? - zapytałam, wychodząc wreszcie ze strumienia

i padając na chłodne poszycie pod drzewem.

- Spróbowałem. Za każdym razem, kiedy zaczynałem tęsknić za swoim psem, przypominałem go sobie. Bywało, że śmiałem się głośno na jakieś wesołe wspomnienie. To naprawdę działało. Mój przyjaciel wracał do życia, ilekroć o nim pomyślałem.

Oparłam się pień drzewa i podciągnęłam kolana pod brodę.

- A twój dziadek?

- Umarł w zeszłym roku. Przygotował mnie do swojej śmierci. Dla mnie on ciągle żyje.

Zawsze będzie ze mną, wystarczy, że usiądę na chwilę i nad nim pomyślę. Żyje we mnie, Mariah. Pewnie myślisz, jestem wariatem.

- Nie jesteś wariatem. Może znalazłeś sekret łagodzący ból tych, którzy zostają. Jeśli działa w twoim przypadku, działa w innych.

Chociaż nie powiedział słowa, widziałam, że wędrownica go zmęczyła. Przekonałam go, żebyśmy zostali nad strumieniem, ciesząc się pięknym dniem.

- Nie miałam pojęcia, że tak tu jest. Kiedy człowiek przyjeżdża do Palm Springs i spogląda na góry, ma wrażenie, że to tylko martwy masyw skalny. Gdy człowiek przyjrzy się uważnie, może dojrzeć drzewa, ale z dołu nie sposób odgadnąć, jak jest tutaj naprawdę. - A ilu ludzi nie spogląda nawet w górę - powiedział Paul cicho i zamilkł na długą chwilę.

Miałam uczucie, że gdyby mógł, porwałby każdego, kto pojawi się w jego mieście, by pokazać mu ukryte cuda Palm Springs.

Kiedy nie patrzył, przyglądałam mu się bacznie. Źródłem jego urody była nie tyle ładna twarz, ile wewnętrzne piękno. Szybko odwróciłam wzrok, gdy uświadomiłam sobie, że przyłapał mnie na obserwowaniu go.

Nie chciałam, by wiedział, jak go uwielbiam. To niebezpieczne, dać chłopakowi do zrozumienia, jak bardzo jest kochany. Mężczyźni w powieściach gotyckich zdobywają kobiety, a kiedy są już pewni swojego, porzucają biedaczki i więcej o nich nie myślą. W realnym życiu takie dramaty raczej się nie zdarzają. Ja bałam się, że Paula może przerazić siła moich uczuć.

W drodze powrotnej chwycił mnie za rękę i pociągnął pod drzewo.

- Nie chcę, żebyś zbyt się zmęczyła - powiedział z troską w oczach.

Usiadłam potulnie na poszyciu obok niego. Nasze usta się zetknęły, ale nie był to delikatny pocałunek. Odsunęłam się, a Paul znów się do mnie zbliżył. Tym razem odpowiedziałam, jak on, łakomie i żarliwie. Objął mnie jedną ręką, drugą gładził po szyi, potem ujął moją twarz.

Tego było za wiele. Chciałam się uwolnić, a tymczasem poddałam się bez oporu. Nie wiedziałam, co myśleć. Gdzie podziła się czułość? Pocałunek palił jak ogniste płomienie.

Raptem odsunął się. On, nie ja. Zaśmiał się nerwowo, wstał, otrzepał spodnie z igieł i pomógł mi się podnieść.

- Nawet tutaj słyszę, jak matka mnie nawołuje. Jak jej się to udaje? - Wyszczrzył zęby. Być może wyczuł moje zmieszanie, może bał się własnych uczuć. Byłam zadowolona i trochę rozczarowana, że nasz pocałunek skończył się tak raptownie.

A jednak obydwójce się uśmiechaliśmy.

- Chyba powinnam nadal trzymać się spinacza - powiedziałam, kiedy ruszyliśmy w drogę. Nie zrozumiał, co mam na myśli, ale to nieważne.

Przypomniałam sobie ślubowanie, które złożyłam w dniu, kiedy rozmawialiśmy z mamą o powodach odejścia ojca.

Kiedy się zakocham, to na zawsze. Nic tego nie odmieni. Żadne z nas nie odejdzie, nie zdradzi, będziemy razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy, a i wtedy pozostaną wspomnienia wspólnego życia. Takiego mężczyznę pokocham, rozpoznam go od pierwszego wejrzenia. I będzie mnie kochał po grób...

W milczeniu, dłoń w dłoń, wróciliśmy na stację.

## ROZDZIAŁ 15

Zamówiliśmy kanapki z rostbefem na gorąco i po szklance piwa imbirowego. - Mojemu ojcu podobałoby się tutaj - powiedziałam. Uwielbiał świerki, lasy iglaste pełne porostów i wiewiórek.

- Tęsknisz za nim. prawda? - zapytał Paul, wymiatając swój talerz do czysta. - Bardzo. Tak bym chciała, żeby coś się zdarzyło i...

- Wiesz, co myślę, Mariah? Twoja matka sama musi podjąć decyzję. Ani ty, ani Kim nie powinnyście się mieszać. To ona musi chcieć jego powrotu. Żebyś nie wiem, jak tego pragnęła, nic z tego nie wyjdzie, jeśli wróciłby tylko, dlatego, że wy tego chcecie. Wiedziałam, że Paul ma rację. Skończyłam kanapkę w milczeniu. - Chodźmy na taras widokowy. Nie zapomnij swetra - powiedział. Weszliśmy na taras.

- Nocą musi roztaczać się stąd romantyczny widok - odezwałam się tęsknie, chcąc na powrót przywołać emocje, które połączyły nas nie tak dawno.

- Przyjedziemy tu któregoś wieczoru. Jedyne sposoby, żeby wydostać się teraz spod skrzydeł matki, to obiecać jej, że nie będę zbyt długo poza domem.

- Nie czujesz się dobrze? - Paul wyglądał tak zdrowo, że trudno mi było wyobrazić sobie, że w ogóle chorował.

- Nasz lekarz jest dosyć staromodny, a rodzice ślepo wierzą w każde jego słowo, ufają mu bez zastrzeżeń - powiedział, otulając się szczelniej kurtką. - Powiada, że powinienem dużo odpoczywać, więc każą mi odpoczywać, nie zważając, jak się czuję. Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie wyjadę do Berkeley.

Weszliśmy do środka i Paul poprowadził mnie do sklepu z

pamiątkami. - Chcę, żebyś miała stąd jakiś drobiazg - powiedział biorąc mnie za rękę. Rzęsiście oświetlone wnętrza wypełniały tysiące pamiątek. Brałam w dłoń jedną po drugiej, a Paul patrzył z uśmiechem na moje niezdecydowanie. Wreszcie wyciągnął z górnej półki zwój naklejek samochodowych z czarnymi literami na jaskrawożółtym tle. „P.s. Kocham cię”, mówił napis.

- „Palm Springs, kocham cię”, to bardzo popularna naklejka na zderzak, ale chciałbym, żebyś po powrocie do domu umieściła ją gdzieś w swoim pokoju, na pamiątkę tego miejsca i tego dnia - powiedział. Zapłacił dziewczynie przy kasie i wręczył mi torebkę.

- Dziękuję, Paul. - Wiedziałam już, gdzie ją umieszczę.

- Chodź, spojrzymy jeszcze raz na miasto - zaproponował.

Wyszliśmy na taras. Daleko w dole rozciągała się pustynia z płowymi piaskami i kolczastymi kaktusami. Niemal czułam panujący tam żar. Niebo przeciął srebrzysty samolot.

- Lubisz rysować. Paul? - zapytałam. - To bardzo ładnie z twojej strony, że dałeś Kim te przybory. Myślę, że coś z tego wyniknie.

- Trochę bazgrzę, ale tak naprawdę pociąga mnie tylko architektura, tylko to się liczy.

Rysunek jest tu, oczywiście, konieczny. Matka kocha sztukę, chciała chyba, żebym był artystą. Kupowała mi przybory, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, a teraz jest szczęśliwa, że idę na architekturę.

- Rysujesz, więc różne budowle...

- Mam zamiar je stawiać. Ogromne budowle. Lubię rysować domy i rezydencje, ale moim powołaniem jest chyba projektowanie wieżowców, biurowców, gmachów. Może któregoś dnia, kiedy okażę się dobry,

odważę się na coś, co przypominałoby katedrę, - Spojrzał na zegarek i zmarszczył czoło. - Na razie to wszystko musi poczekać. Teraz pora przyłączyć się do tych mrówek w dole.

Wsiedliśmy do kolejki, ale tym razem już się nie bałam. Mały wagonik ruszył z peronu, kołysząc się lekko na linach. Sunęliśmy powoli na spotkanie kolejki pnącej się w górę.

Westchnęłam ciężko. Nie chciałam, żeby ten dzień dobiegł końca, ale nie chciałam też, żeby Paul, naraził się matce.

- Ona mnie nie lubi, prawda? - szepnęłam, tak by współpasażerowie mnie nie słyszeli.

- Kto? - spytał, po czym ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź:

- Oczywiście, że cię lubi, ale martwi się o mnie. Nasz stary doktor wykończył ją nerwowo swoimi przestrogi. Nie musiał psuć nam lata.

Jestem pewien, że operacja mogła poczekać do pierwszej przerwy między zajęciami.

Byliśmy już na Dolnej Stacji. Nie miałam zamiaru tego powiedzieć, ale słowa wymknęły się same:

- Paul... gdybyś nie został tu na lato, nie poznalibyśmy się. Uśmiechnął się i ścisnął mi dłoń.

Wagonik stanął.

- To dowodzi, że nie wszystko złe źle się kończy - powiedział.

- Masz, więc zamiar być pisarką. Czytałem fragmenty tej książki, którą mi zostawiłaś, ale ty...

Jak chciałabyś pisać?

- Właśnie tak.

Jechaliśmy z boczem w stronę Palm Springs. Spojrzał na mnie



poważnie.

- Nie tak.

- Słucham?

- To powinno być coś... bardziej realnego. - Jechał bardzo powoli, jakby chciał odwlec chwilę powrotu do domu.

- To jest realne, tyle że osadzone w przeszłości. To bardzo romantyczne - odburknęłam, zła, że nie podziela moich upodobań.

- Dlaczego nie miałabyś pisać o rzeczach, które znasz z własnego doświadczenia? A jak nabierzesz wprawy, wtedy będziesz mogła pisać gotyckie powieści... jeśli nadal będziesz miała na to ochotę.

- Och. mówisz jak moja nauczycielka, pani Peterson. Ją mogę zrozumieć, jest taka nudna, ale ty... rozczarowałaś mnie. - Westchnęłam.

- O co chodzi? Lata osiemdziesiąte nie są dla ciebie wystarczająco romantyczne?

- Nieważne. I tak tego nie zrozumiesz - odpowiedziałam z goryczą. - O co my się kłócimy?

Może w ogóle jestem za słaba, żeby pisać.

- Wysyłałaś gdzieś swoje teksty?

- Tak. Trzy czy cztery wiersze do kilku pism. Wysłałam też gotyckie opowiadanie o dziewczynie, która ukrywa się w zamku bogatego stryja. Wydawało mi się bardzo dobre, dopóki nie przyszedł list z odmową wydania.

- Co wiesz o dziewczynach, które ukrywają się w zamkach bogatych stryjów? - zapytał Paul z przewrotnym uśmiechem.

Musiałam mieć strasznie nieszczęśliwą minę. bo kiedy na mnie spojrział, od razu zrozumiał, dlaczego zamilkłam.

- Przepraszam - rzekł miękko i dotknął mojej dłoni. - Wyświadczyć mi jednak przysługę. Kiedy wrócisz do domu, zacznij przyglądać się ludziom, którzy cię otaczają, przyjaciółom, znajomym. Studiuj ich, próbuj opisywać charaktery, próbuj wyobrażać sobie, jak zachowaliby się w określonych sytuacjach, a potem na podstawie tych notatek zacznij budować małe opowiadania.

Spojrzałam na niego, nadal jeszcze nieco nadąsana, ale ciekawość wzięła górę.

- Skąd wiesz takie rzeczy? Kto ci mówił, że tak należy robić?

- Mój ojciec.

No cóż, pomyślałam, z takim autorytetem nie sposób się spierać.

- Boję się, Paul - odezwałam się po chwili. - Czytałam tyle historii o kłopotach z publikowaniem. Nawet, jeśli człowiek jest bardzo dobry, szanse, żeby coś wydać, są bardzo nikłe. Mówią, że...

- Wierzysz, że jesteś dobra? Że któregoś dnia naprawdę będziesz dobra? Inaczej mówiąc, wierzysz, że jesteś pisarką?

Wzięłam głęboki oddech.

- Tak - odparłam. - Naprawdę wierzę, że któregoś dnia będę na tyle dobra, że moje utwory będą publikowane. - Nigdy dotąd nie czułam podobnej pewności, ale teraz mówiłam z głębokim przekonaniem. Znów byliśmy częścią kolonii mrówek u podnóża gór.

- O to właśnie chodzi. W Palm Springs jest sklep z różnymi drobiazgami. Właścicielka, kobieta bez żadnego doświadczenia, wypełniła go ratanowymi mebelkami, gadżetami z Hongkongu i Indii. Wszyscy uważali, że zbankrutuje. Wtedy ratan nie był jeszcze modny.

Nawet mój tata uważał, że nie da sobie rady. Ale ona wierzyła w

siebie. W ciągu kilku miesięcy sprzedała wszystko, co miała na składzie. Później zwierzyła się ojcu, że nie przyszło jej do głowy, że może splajtować. Zawsze lubiła ratanowe drobiazgi, nie wiedziała, że są akurat niemodne. To zasada trzmiela.

- Co to takiego? - zapytałam zdziwiona. - Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

- Dotyczy aerodynamiki. Inżynier będzie oglądał trzmiela, będzie mierzył rozstaw jego skrzydeł, siłę nośną, ciężar ciała. Po dokonaniu wszystkich obliczeń dojdzie do wniosku, że trzmiel w żaden sposób nie może latać. A trzmiel nic o tym nie wie i lata.

Zaśmiałam się.

- Wspaniale. Uważasz więc, że tej kobiecie ze sklepu z ratanem udało się, bo wierzyła w siebie? Jak to się ma do mnie?

- Jeśli będziesz wierzyła we własny talent, któregoś dnia zobaczysz swoje książki w księgarni.

- Wielu pisarzy wierzy w swoje możliwości i nic z tego nie wynika.

- Nie mogę ci zagwarantować, że twoje rzeczy będą kiedyś drukowane, dlatego, że uwierzyłaś w siebie. Mówię tylko, że bez wiary nie masz najmniejszej szansy.

Byliśmy pod domem Abbottów. Zanim Paul zgasił silnik, rzuciłam raz jeszcze na niego wzrokiem. Od dzisiaj w każdym razie będę mogła w pełni autorytatywnie pisać o namiętnych pocałunkach.

## ROZDZIAŁ 16

Tego wieczoru Jim przyszedł zagrać z Kim w tryk - traka. Zasiedli w kuchni, a mama zajęła się pieczeniem rogalików z jabłkami. - Miałeś kiedyś żonę? - zagadnęła Kim nieoczekiwanie.

Mama posłała jej mordercze spojrzenie; Kim wcale to nie obeszło. To jeszcze jedna specjalność mojej siostry. W przeciwieństwie do mnie mordercze spojrzenia w ogóle jej nie dotyczą, ale na tym właśnie polega różnica między sześciu i szesnastolatką. - Miałem. Ano, miałem - powiedział Jim, mieszając kawę. Kim wygrywała partię. - Zdublujemy - zaproponowała.

Jim przystał z ociąganiem. Mama ułożyła rogaliki na blasze i wsunęła ją do piekarnika. - Nie sądzisz, że zadajesz zbyt osobiste pytania, młoda damo? - zwróciła się do Kim, posyłając jej kolejne groźne spojrzenie.

Siedziałam przy drugim końcu stołu, zajęta manicure. Nastawiłam uszu, ciekawa dalszego ciągu konwersacji. Jim podniósł dłoń.

- Co tam. Mała pyta, jak stary żył, i tyle. Niech wie. Wypuścił z ręki kostkę do gry i zaczął: - Mieszkałem w starym domku, ja i moja Maryanne. Ja chodziłem koło tego, co i teraz, Maryanne była za pokojówkę. Śliczna była niby obrazek ta moja Maryanne i wiele młodsza. W kuchni zaczął rozchodzić się wspaniały zapach rogalików, cynamonu i gałki muszkatołowej. Jim mówił dalej:

- Smutne to, oj smutne. Bardzośmy chcieli z Maryanne dzieci, a tu ciągle nic. Mówiliśmy między sobą, czyby nie adoptować, ale do agencji nigdyśmy nie poszli, papierów nie złożyli. Maryanne mnie ciągnęła, alem czegoś zwłóczył. Jednego dnia odeszła. Z takim jednym, co się najął tu do

pomocy. „Do widzenia” nie powiedziała...

- Och - westchnęłam współczująco. - Czemu jej nie szukałeś, nie walczyłeś o nią? Jim zaśmiał się.

- Tak się należało. Nie minęło wiele czasu, jak ją zostawił. Pojechała do siostry do Kentucky. Wstyd jej było wracać. Siostra słała mi listy, zaklinała, żebym przyjechał i ją zabrał. - Dlaczego nie pojechałeś? - zapytała Kim, zerkając na szybkę w drzwiach piekarnika. Mama skończyła czyścić blat szafki, przysunęła sobie krzesło i usiadła z nami. - Nie mogłem - powiedział Jim, kręcąc głową. - Nie mogłem, duma nie pozwalała. Oj, byłem dumny. Aż któregoś dnia poszedłem na pogrzeb starego przyjaciela. Zawszem myślał, że on taki stary, a tu patrzę na klepsydrę, a on tylko rok był starszy niż ja. Tak mi to dało do myślenia, żem postanowił jechać za Maryanne.

- I pojechałeś. Wróciła z tobą? - dopytywała się dalej Kim.

Wstrzymałyśmy oddech czekając na jego odpowiedź. Zrobiło się cicho, słychać było tylko tykający zegar. Widziałam oczyma wyobraźni, jak musiała wyglądać Maryanne. Długie czarne włosy, zaplatane w warkocz i upinane w węzeł na czubku głowy, piękna twarz i sylwetka. Naprawdę kochała Jima, ale nie bardzo wiedziała, czego chce. Może do podjęcia fałszywego kroku pchnął ją fakt, że nie mogła mieć dzieci. Spojrzałam wyczekująco na Jima.

- Wziąłem urlop i pojechałem do Kentucky - mówił z zamglonym wzrokiem. - Autobusem.

Nikt nic nie wiedział, to i nikt nie czekał na mnie na dworcu. Stamtąd okazją machnąłem się do domu siostry Maryanne. Co to była za nędza! Zapukałem do drzwi. Otworzyła siostra Maryanne. Sally. Spojrzała na

mnie, jakby samego diabła zobaczyła, i naraz dawaj okładać mnie pięściami po głowie i w krzyk, „Dlaczego teraz”? I tak krzyczała na całe gardło: „Dlaczego teraz”?

- Tom chwycił ją za ręce i posadził na ganku, a ona w płacz.

Z początku nic zrozumieć nie mogłem, dopiero wreszcie wyrozumiałem, że Maryanne umarła trzy dni wcześniej. Przyjechałem tego dnia, co był jej pogrzeb. Dostała zapalenia płuc. Sally mówiła, że to przez to, że już żyć nie chciała.

Jim opuścił głowę.

- Żal - powiedział cicho. - Krótkie to nasze życie. Nie trza grać o fanty z Bogiem. Gdybym go wysłuchał, pojechałbym, zaraz jak tylko Sally napisała, że Maryanne chce wrócić. Żal. I strata. - Jim wstał.

Myślami ciągle był przy Maryanne. - Pora na mnie. Jutro trza kosić trawę i dać kilka nowych cegieł na ścieżce, w miejsce popękanych.

Zamknął za sobą drzwi, mama wstała i zajrzała do piekarnika.

- Przypilnujcie, dziewczynki, rogalików. Będą gotowe około wpół do dziewiątej, Mariah, ostudzisz je na stolnicy. Uważaj, żeby nie poparzyć sobie ust. będą gorące.

- Nie zaczekasz? - zapytałam.

- Nie. Mam mnóstwo listów do napisania. Zjem swoje rano. - Cmoknęła nas policzek i zniknęła w holu.

Zagrałyśmy z Kim trzy partie tryk - traka i zjadłyśmy w milczeniu rogaliki. Kim odezwała się pierwsza.

- Chciałabym, żeby mama pojechała i przywiozła tatę... zanim będzie za późno - powiedziała żałośnie, ugryzła kawałek rogalika i popiła zimnym mlekiem.

- I ja bym chciała, ale to musi być jej decyzja. Kim - zwróciłam się do swojej małej siostry, przypominając sobie rozmowę z Paulem.

Dlaczego, myślałam, miłość bywa czasami tak skomplikowana? Czy i mnie to czeka? Posprzątałam ze stołu i poszłam do łóżka, myśląc o Jimie, mamie, tacie i Paulu.

## ROZDZIAŁ 17

Następnego ranka zadzwonił Paul. - Mam grypę, w każdym razie na to wygląda. - Mówił zachrypniętym głosem. - Mama mówi, że poleżę kilka dni. Tata chorował dwa tygodnie temu. Widać chwyta wszystkich. Muszę leżeć w łóżku i pić hektolitry soków.

Powiedziałam kilka zdań, które mówi się zwykle osobie chorej na grypę, ale w moim głosie słychać było widocznie ton zawodu.

- Mam nadzieję, że cię nie zaraziłem - zatroszczył się. - Przyjdę, jak się tylko pozbędę tego świństwa. - Zniżył głos do szeptu. - Kocham cię.

Czekał, że powiem to samo. Jak to się stało? Zналиśmy się tak krótko, a przecież obydwójce wiedzieliśmy to, naprawdę wiedzieliśmy.

- Kocham cię. Paul - powiedziałam i poczułam, że coś ściska mnie w gardle. Przez chwilę myślałam, że połączenie zostało przerwane.

- Nie ruszaj się z miejsca - odezwał się w końcu rozkazującym tonem. - Nie rób nic. Nie choruj. Nie wyjeżdżaj z miasta. Czekaaj, aż wyzdrowieję, Mariah. Zaśmiałam się nerwowo.

- Dobrze. Paul. Poczekam, aż, wyzdrowiejesz - obiecałam, ale jego głos mnie zaniepokoił. Pożegnaliśmy się. Z upływem dnia czułam coraz większe przygnębienie. Pomagałam mamie piec, słuchałam jej odpowiedzi na pytania egzaminacyjne. Lato mija. a Paul znowu musi zostać w łóżku przez kilka dni. To nie w porządku.

- Świat się nie kończy - pocieszyła mnie, wstawiając umyte naczynia do kredensu. - Prawie - mruknełam strząsając okruchy z serwety. - Prawie.

Co tydzień przychodził list od Elaine, co tydzień skrupulatnie jej odpowiadałam. Pisała, że spędza wspaniałe lato i że poznała na plaży jakiegoś chłopca. Szczęśliwa, pomyślałam. Przemieszkałam tam całe życie



i nigdy żadnego nie udało mi się poznać. Żeby wypełnić czas, zaczęłam pisać dziennik. Całymi godzinami pluskałyśmy się z Kim w basenie, wieczorami grałyśmy z Jimem w tryk - traka. Minał tydzień, a Paul nadał był chory, tak bardzo, że nie mógł nawet podnieść się z łóżka. Dzwonił.

Dzwonił codziennie rano i wieczorem. Potrafiłam rozmawiać z nim i godzinę; dopiero mordercze spojrzenia mamy przywoływały mnie do porządku. W czasie każdej następnej rozmowy jego głos wydawał się coraz słabszy, a ja czułam się coraz bardziej przygnębiona.

Miałam wrażenie, że coś poważniejszego niż grypa zatrzymuje Paula w łóżku, ale on upierał się, że nie mam racji. Nie pozwalał mi martwić się o siebie.

- Wystarczy, że matka się nade mną trzęsie. Nie chcę, żeby z powodu jakiejś choroby jeszcze moja dziewczyna zamieniła się w kłębek nerwów.

Kilka razy pojechałam do Welwood Murray Library. Siedziałam tam i myślałam. Była to mała biblioteka, nie taka jak w Huntington Beach, ale z chwilą kiedy przekroczyłam jej próg, poczułam się tu jak w domu. Znowu zadawałam sobie pytanie, czy znajdzie się w niej kiedyś moja powieść.

Krażyłam między półkami z książkami autorów, których nazwiska zaczynają się na J.

Znalazłam Johnsonów, i kiedy nikt nie widział, rozsuwałam lekko tomy robiąc miejsce na moje powieści. Cofałam się o krok i widziałam je oczyma wyobraźni. Nieco podniesiona na duchu, mobilizowałam się i wracałam do domu.

## ROZDZIAŁ 18

W końcu pozwolono Paulowi wstać z łóżka, ale Strobe'owie zawieźli go natychmiast do szpitala na kolejne badania. Tym razem pojechali do Los Angeles.

Pewnego sierpniowego ranka obserwowałam z okna pierwszego piętra ich wyjazd. Kiedy po południu poszłam na górę po swój dziennik, widziałam, jak wracają. Nie było ich jedenaście godzin.

Wieczorem zadzwonił Paul.

- Mamie się czuję, ale idę o zakład, że jutro pobiję cię w tryk - traka.

- Jego głos dochodził gdzieś z bardzo daleka. - Nie uwierzysz, co oni dzisiaj ze mną wyprawiali! Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, po czym Paul się pożegnał. Odsunęłam planszę tryk - traka i sięgnęłam po ..TeleTydzień.

- Cholera - zakląłam głośno, bo w programie nie znalazłam nic ciekawego. Do pokoju weszła mama.

- Proszę cię, Mariah, postaraj się wzbogacić swój słownik.

- To wszystko, dlatego, że żal mi Paula. Jestem pewna, że nie dzieje się z nim nic złego, tymczasem matka cały czas wmawia mu, jaki jest chory. Gotów w to wreszcie uwierzyć. - Nonsens. Jest na to za mądry... a jednak - Mama podeszła bliżej i usiadła na taborecie obok mojego fotela. - A jednak myślę, że jest chory, bardzo chory. Spojrzałam na nią przerażona. - Dlaczego... dlaczego tak...

- Szybko traci na wadze - powiedziała biorąc do ręki robótkę na drutach. Przygotowywała wyprawkę dla malucha jednej ze swoich koleżanek. - Źle wygląda. Może to anemia, wiesz, brak żelaza.

- Tak jak u Pete'a Bakera - podsunęłam, szukając rozpaczliwie

odpowiedzi. - Pamiętasz, mówili, że za szybko rośnie. To się zdarza chłopakom, kiedy rosną za szybko. - Może. Tak czy inaczej powinnaś zapomnieć o wycieczkach, o forsownych wyprawach, które mogłyby osłabić Paula. Gdyby proponował coś męczącego, powiedz, że wolisz posiedzieć w domu, zagrać w tryk - - traka albo w karty, cokolwiek. - Dobrze - obiecałam. - Ale lato mija i...

- Wiem, i cieszę się, że nie masz do mnie żalu, że cię tutaj zaciągnęłam. - Mama uśmiechnęła się.

Całkiem już zapomniałam o swoim niezadowoleniu. Teraz trudno mi było uwierzyć, że tak się opierałam. Poszłam do swojego pokoju i zapatrzyłam się na altanę. Paul wkrótce wyzdrowieje. Tego wieczoru zapisałam w swoim dzienniku jedno tylko zdanie: Proszę. Boże, niech Paul mój odzyska zdrowie, jak najszybciej!

## ROZDZIAŁ 19

Okolo wpół do jedenastej następnego dnia mama zapukała do drzwi mojej sypialni. Zaspałam, a ona wybierała się na zakupy. Miałam jechać razem z nią. - Już. Wstaję! - krzyknęłam, wyskakując z łóżka. Drzwi się otworzyły.

- Mariah. - Zobaczyłam lęk w jej oczach. - Ubieraj się i zaraz schodź na dół. Państwo Strobe są tutaj.

Państwo Strobe? Czego oni chcą?

Mama podeszła do szafy i wyjęła jakąś koszulkę i dzinsy. - Włóż to. Szybciej - nakazała. :

- Co się dzieje? - zapytałam, rozgarniając potargane włosy. - Pospiesz się - powtórzyła rozkazującym tonem i wyszła z pokoju.

Wybrała mi koszulkę w żagłówki. Przemknęło mi przez głowę czy jest dość wytworna dla Strobe'ów, szybko doprowadziłam do porządku włosy. Pojawili się tutaj, żeby dać mi w obecności mamy burę, że za długo byliśmy na wycieczce? Obwiniali mnie za jego gripę? Spojrzałam w lustro. Miałam jeszcze zapuchnięte od snu oczy.

Pośliniłam palec i przejechałam nim po brwiach. W porządku, wszystko jedno, jak wyglądam. Słyszałam głos Kim. Mówiła coś do pani Strobe. Pytała, jak się czuje Paul. - Tęsknimy za nim.

Kiedy weszłam do salonu, rozmowa ucichła. Pan Strobe poderwał się i podszedł do mnie. - Mariah. Paul zniknął. Nie wiemy, gdzie jest. Zabrał swoją motorynkę, nie ma jej w garażu. - Chce pan powiedzieć, że nie było go przez całą noc? - Cofnęłam się i opadłam na krzesło, zaciskając palce na poręczach. - Dlaczego miałby to zrobić? Spojrzałam na panią Strobe. Wyglądała tak, jakby przeplakała wiele godzin. - Powiedz im. Martin,

proszę, może będą mogły nam pomóc. - Załkała. Mama odesłała Kim. Zostaliśmy wreszcie sami.

Pani Strobe zanosła się płaczem. Pocieszenia jej męża nie odnosiły skutku. - Już dobrze, Betty, cicho - szeptał łagodnie, obejmując ją. Odwróciłam się do mamy. Jej twarz była kredowobiała. Spojrzałam na panią Strobe, która usiłowała powstrzymać' szloch. - Paul jest na pewno załamany, Mariah - rzekł pan Strobe. - Musiał zajrzeć do mojej biblioteki, żeby wziąć jakąś książkę do czytania przed snem, a ja zostawiłem na biurku papiery od doktora Rittera. Naszego lekarza. - Otarł oczy chusteczką i mówił dalej: - W tych papierach była diagnoza Paula.

- Diagnoza? - zapytałam, ledwie dobywając głos. - Jaka diagnoza?

Pan Strobe odchrząknął.

- Ostatni guz, który usunięto Paulowi, był złośliwy. Są przerzuty, tak poważne, że zrezygnowali z dalszych operacji. Zrobili, co mogli.

- I nikt nie powiedział o tym Paulowi? - zapytałam czując, że robi mi się niedobrze.

- Myśleliśmy, że w stosownej chwili... szukaliśmy sposobności. Powiedzieliśmy lekarzowi, że chcemy to zrobić sami - mówił pan Strobe.

Pani Strobe znowu zaczęła płakać. Mama usiadła obok niej i dotknęła delikatnie jej dłoni.

- Te papiery... które pan zostawił. Było tam czarno na białym, że nic się nie da zrobić? - wyszeptałam i dopiero po chwili dotarło do mnie znaczenie tych słów. Jak to możliwe?

Pan Strobe skinął tylko głową.

- Ale ten lekarz to jakiś starzec. Paul tak mówił! - krzyknęłam histerycznie. - Staruch. Może nie wie wszystkiego, nie nadaża za wiedzą.

Paul mówił...

Pan Strobe przyklęknął przede mną; miał łzy w oczach, dłonie mu drżały, ujął moje dłonie.

- Szpital w Los Angeles potwierdził diagnozę. Nie, nie poddamy się. Mariah. Jest mnóstwo wybitnych lekarzy, znakomite szpitale. Będziemy próbować wszędzie. Ale teraz... Wiesz, gdzie może być Paul? Przychodzi ci coś do głowy? Wszędzie już szukaliśmy. Nie zawiadomiliśmy jeszcze policji, ale teraz...

Zerknęłam z rozpaczą na mamę, po czym znów spojrzałam na pana Strobea, który ciągle klęczał.

Widziałam wszystko wyraźnie. Widziałam Paula z głową w dłoniach. Łzy, które spływały mu po policzkach.

Siedział na skale. Na swojej skale.

- Zabiorę pana tam - powiedziałam do ojca Paula.

Przebiegliśmy przez ogród, ścieżką prowadzącą do garażu Strobe'ów. Bez słowa wsiedliśmy do samochodu. Pokazywałam drogę. Jak bardzo różnił się ten ranek od tego radosnego, kiedy wyprawiliśmy się do kanionu z Kim, Joeem i Paulem. A jednak tak samo słoneczny. Droga też była ta sama.

Słyszałam jeszcze niemal echo naszych śmiechów, upiorne echo. Jakie to dziwne: dzień niby ten sam, podobny, a ludzie tak zupełnie inni.

Pokazałam panu Strobe, gdzie ma się zatrzymać. Nie byłam pewna, czy dokładnie pamiętam miejsce. Byłam tutaj tylko raz. Muszę sobie przypomnieć!

Muszę! Muszę zmusić mózg do pracy!

- Pójdę przez zarośla. Znam drogę - powiedziałam.

- Będę szedł za tobą. - Ojciec Paula wysiadł z samochodu.

- Nie, nie może iść pan razem ze mną - oznajmiłam stanowczo.

- Proszę zostać w samochodzie i czekać. Poradzę sobie. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że muszę iść sama. - Siła wewnętrzna, której nigdy wcześniej nie czułam, popychała mnie naprzód i kierowała moimi działaniami.

Pan Strobe ścisnął mi dłoń.

- Znajdź mojego syna, Mariah, proszę.

## ROZDZIAŁ 20

Spłoszone warkotem silnika ptaki umilkły, gotowe wznowić trele, gdy wszystko ucichnie. Miałam nadzieję, że będę potrafiła trafić do skały. Zamknęłam oczy zaciskając z całych sił powieki, w oczekiwaniu, że zobaczę upragniony obraz. Kiedy je otworzyłam, wiedziałam, że moje życzenie spełniło się.

Rozgarniając gęste gałęzie i wysokie trawy dotarłam wreszcie do małego strumyka, poszłam na jego drugi brzeg i wkrótce znalazłam się na terenie, gdzie docierało słońce. Rysowało na ziemi fantazyjne cienie, takie jakie zapamiętałam. Spojrzałam w prawo i zobaczyłam skąpaną w promieniach słońca skałę, skałę Paula, a na jej szczycie chłopaka z głową w dłoniach. Paul. - Paul! - krzyknęłam. Mój głos odbił się echem o ściany kanionu. Paul podniósł głowę, na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. - Mariah. Mariah, skąd się tutaj wzięłaś! Wynoś się! Zabieraj się stąd, na Boga! - Paul! - zawołałam raz jeszcze, biegnąc w stronę skały. - Twoi rodzice umierają ze strachu! - Nie podchodź. Nie zbliżaj się ani na krok! - Pochylił się tak, j podnosił kamień. - Bo nucę tym w ciebie. Przysięgam! Zamarłam w miejscu.

- Nie. Paul, nie zrobisz tego. Nie wierzę. - Usiłowałam mówić tak spokojnie, jak to tylko możliwe.

- Odwróć się i wracaj. - Teraz usłyszałam w jego głosie błaganie. Powoli podniósł rękę. - Ostrzegam cię, cofnij się. Nie podchodź do mnie.

Stałam bez ruchu, ale cała się trzęsłam ze strachu, nie o siebie, lecz o Paula. Nagle zrozumiałam, że muszę podejść bliżej. Ruszyłam odważnie, a on znowu zamierzył się kamieniem. Postawiłam stopę na występie, który prowadził na skałę. Widziałam Paula, jak stoi tam w górze, ciągle z



podniesioną dłonią, z umorusaną i cętkowaną łzami twarzą. Po chwili opuścił rękę, kamień potoczył się na ziemię. Nachylił się i pomógł mi wspiąć się na skalną platformę. Trząsał się, jakby jego ciało przenikał lodowaty wiatr.

- Mariah - szepnął i objął mnie. - Mariah. Mariah - szeptał. - Nie chciałem, żebyś widziała, jak płacę.

- Wszystko w porządku. Mówi się, że mężczyzna nie powinien płakać, ale ja myślę, że czasami powinien.

Łzy spływały nam po policzkach. Usiedliśmy na skale, a Paul opowiadał mi, co poczuł, kiedy przeczytał diagnozę. Wściekły pobiegł do garażu i wskoczył na motorynkę. Ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero w rezerwacie.

Schował pojazd w zaroślach i poszedł na skałę. Przez całą noc wzywał Boga, wadził się z nim, wyzywał go, próbował dojść z nim do ładu, pytał, czemu odbiera mu życie. Czemu akurat jemu?

- Mam tyle rzeczy do zrobienia. Tyle gmachów, które mógłbym zaprojektować. Chciałbym, żeby było na nich wyryte moje imię. Chciałbym kiedyś przekazywać swoją wiedzę innym i sam się uczyć, ale najważniejsze, że jesteś ty... - Jego palce rozczesywały moje włosy.

- Paul. twój ojciec mówi. że są jeszcze inni lekarze, dobrzy lekarze, którzy potrafią więcej. Są dobre szpitale. Mówi. że jest jeszcze nadzieja. Czytałam trochę o raku. Ciągłe pojawiają się nowe metody leczenia.

- Nie mam zamiaru się poddawać - powiedział, opierając się o mnie.  
- Kiedy przyjechałem tutaj wczoraj, czułem się okropnie. Miałem ochotę walić łbem o skały i skończyć z tym wszystkim. Ale noc mijała, a ja zaczynałem rozumieć, jaki jestem głupi. Zraniłbym tylko rodziców, a tego

nigdy nie zrobię. Próbowałem się jakoś pozbierać, a kiedy pojawiłaś się ty, znowu wpadłem w panikę. Kiedy powiedział „rodzice”, przypomniałam sobie o panu Strobe.

- Paul, twój ojciec czeka w samochodzie, obydwójecie odchodzą od zmysłów. Muszą się dowiedzieć, że wszystko w porządku.

- Za chwilę.

Chociaż nie zamieniliśmy ani słowa, nasze milczenie było pełne znaczenia i uczucia, niczym po bardzo długiej rozmowie, w której powiedzieliśmy sobie o naszej miłości, wzajemnym oddaniu i podczas której złożyliśmy sobie dożgonne śluby wierności.

Musiałam wreszcie przerwać magiczny krąg.

- Paul, twój ojciec...

Zsunęliśmy się ze skały. Paul przyklęknął przy małym strumyku, w lecie suchym, ale niosącym dość wody, by mógł obmyć w niej twarz. Przeczesał włosy palcami i wziął mnie za rękę.

- Jestem gotów.

Opuściliśmy razem naszą samotnię.

## ROZDZIAŁ 21

Trudno powiedzieć, kiedy kończy się lato w Palm Springs. Oznaki są subtelne - znikają na przykład uczniowie szkół średnich i studenci, a z moteli całe rodziny, żegnane przez właścicieli tych przybytków westchnieniem ulgi. Otwiera się sklepy zamknięte podczas przerwy urlopowej, a w witrynach pojawiają się zachęcające hasła: „Kolekcja mody jesienno - zimowej”, albo „Wejdz i poszperaj”. Naprawdę bogaci ludzie wracają dopiero w listopadzie, zaraz po Święcie Dziękczynienia. My wyjeżdżałyśmy.

Z Paulem pożegnałam się w szpitalu, gdzie przechodził jakąś dopiero wprowadzaną kurację. Wkrótce miał zostać przeniesiony do Houston, w Teksasie - tam czekały go kolejne badania i kolejna kuracja. Twierdził, że czuje się jak świnka morska, ale ktoś musi być pierwszy, jeśli pewnego dnia mamy znaleźć niezawodne lekarstwo na raka. Bardzo schudł, miał przerażająco bladą cerę.

- Postaram się odwiedzić cię w Houston - obiecałam mu ostatniego dnia. - Mama powiedziała, że znajdzie dla mnie pieniądze na bilet autobusowy. Tak będzie najtaniej. Paul nachylił się i pocałował mnie w rękę.

- Mam do ciebie tylko jedną prośbę. Napisz opowiadanie, specjalnie dla mnie, dobrze? Kiedy będzie gotowe, przyślij je natychmiast. Chcę być twoim krytykiem. Uśmiechnęłam się. - Dobrze - przyrzekłam.

- Następnym razem pobiję cię w tryk - traka - powiedziała Kim na pożegnanie. - Następnym razem zagramy na pieniądze. - Paul zaśmiał się, ale nie był to radosny śmiech. Spojrzałam na mamę, lecz omijała mnie wzrokiem. Stała z boku i wyglądała przez okno. Nie chciała nam

przeszkadzać.

- Kiedy Mariah będzie wysyłała mi rękopis, dołącz jakiś swój rysunek - zwrócił się Paul, do Kim.

- Dobrze - powiedziała. Głos jej drżał.

Przyszli państwo Strobe, a my musiałyśmy wyjść. Uścisnęli nam dłonie i życzyli szczęśliwej podróży. Wcześniej już zapakowałyśmy wszystkie nasze rzeczy do samochodu i pożegnałyśmy się ze starym Jimem, który miał czekać na powrót Abbottów.

Kiedy Paul pociągnął swoją matkę za rękę i szepnął jej coś do ucha, zwróciła się do mnie:

- Paul chce porozmawiać z tobą sam na sam. Mariah - powiedziała.

Kiedy wszyscy wyszli z pokoju, podeszłam do jego łóżka. Wyglądał tak krucho; był taki blady i wychudzony. Objął mnie, a ja przytuliłam go mocno. Po chwili odwróciłam głowę w stronę okna. Nie chciałam przy nim płakać, ale łzy same cisnęły mi się do oczu i spływały po policzkach. Odsunął mnie od siebie i spojrzał mi w oczy.

- Dość się już napłakaliśmy, Mariah. Od tej chwili będziemy się tylko śmiać, wykorzystamy każdą chwilę, jaka nam została. - To był mój dawny Paul.

- Postaraj się zrozumieć moją matkę. Nigdy nie czuła do ciebie nienawiści. Wręcz przeciwnie, w ostatnim czasie pokochała cię tak, jak mój ojciec. Rozpaczliwie pragnie, żebym wyzdrowiał. Wierzyła, że tak się stanie, jeśli nie będę się przemęczał. Jej zdaniem, wypoczynek miał dowieść, że lekarze się mylą.

- Wiem, moja mama mówi, że robiła to, co robiłaby każda matka.

- Powiem wprost. Jeśli nowa kuracja zadziała, wrócę do domu

wcześniej, niż myślisz.

Zmusiłam się do uśmiechu.

Wiedziałam, że tylko cud mógłby to sprawić, ale cieszyłam się, że nie traci nadziei.

- Napiszę do ciebie. Będę ci donosił o wszystkim. Bardzo chcę, żebyś mnie odwiedziła, ale uprzedź wcześniej, niech zdążę przynajmniej się uczesać, poza tym, po co masz mnie przyłapać z jakąś ponętą pielęgniarką - zażartował.

- Gdyby pisanie listów zbyt cię wyczerpywało, możesz zawsze poprosić kogoś z personelu, by pisał pod twoje dyktando - powiedziałam.

- Masz mnie za kompletnego inwalidę? - obruszył się.

Wybuchnęliśmy tak głośnym śmiechem, że Strobe'owie zajrzeli do pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nachyliłam się i pocałowałam go raz jeszcze.

- Do zobaczenia, Paul - szepnęłam.

- Do zobaczenia.

Cofałam się z ociąganiem. Nie miałam ochoty wychodzić. Paul trzymał jeszcze moją dłoń, potem stykały się tylko nasze palce, wreszcie same ich opuszki, w końcu przestaliśmy czuć swój dotyk.

- Zjedz zupę - powiedziałam, posyłając mu pocałunek od drzwi. Na korytarzu czekali Strobe'owie, mama i Kim.

- Pożegnaliśmy się - oznajmiłam im.

Nie pamiętam, jak wyszłam ze szpitala i wsiadłam do samochodu. Ogarnęła mnie raptowna złość.

- Jest tyle nowych odkryć, badań, wspaniali lekarze... dlaczego nie można nic zrobić? - Nawet mnie samą zaskoczył ten gwałtowny wybuch.

Mama pokręciła głową.

- Nie umiem ci odpowiedzieć. Mariah. Pieniądze to jeszcze nie wszystko - powiedziała, jakby czytała w moich myślach.

Za zakrętem chwycił nas wiatr. Silny podmuch uderzył w samochód z niespodziewaną furją.

Co za wściekły wiatr, pomyślałam zamykając szybko okno. Ja byłam jednak bardziej wściekła niż on, a przy tym przerażona.

## ROZDZIAŁ 22

Przed nami naciągała się droga wyjazdowa z Palm Springs. Jechałam nią zaledwie trzy tygodnie temu. a miałam wrażenie, że jestem starsza o całe lata. Samochód sunął cicho. Żadna z nas nie miała ochoty na rozmowę.

- Nie ma wiatru, możemy otworzyć okna - powiedziała mama. Kim rysowała dom Abbottów. - Wspaniały - pochwalłam. - Wiesz, że Paul chce zostać architektem? W samochodzie zapadła martwa cisza. Mama skoncentrowała się wyłącznie na drodze i prowadzeniu. Spojrzałam na góry; znowu widziałam maleńkie patyczki, które w rzeczywistości były ogromnymi sosnami. Czy znajdę się tam jeszcze kiedyś? Czy będzie ze mną Paul? - Jest duża szansa, że wyleczą Paula, wiesz? - odezwała się wreszcie mama. Czy mówiła tak, dlatego, że sama chciała w to wierzyć?

- Wiem - powiedziałam, by wypełnić ciszę. - Wiem. - W głębi duszy myślałam jednak: Dlaczego, mając tak ogromne pieniądze, nie są w stanie uratować syna? - To jeden z najlepszych szpitali w całym kraju - ciągnęła mama ze wzrokiem utkwionym w drodze.

Kiedy wjechałyśmy na autostradę, wiatr ucichł. W samochodzie znowu zapadło milczenie. Mama pochłonięta była prowadzeniem. Kim swoim rysunkiem. Cieszyło mnie, że porzuciła wreszcie swoje książki do kolorowania. Wkrótce usnęła, ja wyglądałam przez okno. Od kilku tygodni nie padało, ziemia była wysuszona, co oznaczało pewne pożary. Płomienie zaczęły trawić lasy w górach, a my będziemy przyglądać się bezradnie relacjom telewizyjnym. Co roku było tak samo, od kiedy sięgam pamięcią.

Dawniej niewiele to dla mnie znaczyło, nie zdawałam sobie sprawy, jakie piękne, majestatyczne są drzewa rosnące na szczytach. Ta kraina

piękna i spokoju w jednej chwili mogła obrócić się w pogorzeliśko.

- Chciałam z rym poczekać, aż wrócimy do domu. Mariah, ale może lepiej, jeśli porozmawiamy teraz, korzystając z czasu - powiedziała mama.

Spojrzałam na nią - włosy miała związane na karku niebieską chusteczka, wzrok utkwiony w drodze - i poczułam, że zaraz zdarzy się coś wielkiego, coś bardzo ważnego.

- Napisałam do twojego ojca - zaczęła powoli. - Nie podjęłam jeszcze żadnej decyzji, ale myślę o tym, czy nie poprosić go, żeby wrócił.

Co o tym sądzisz?

Wzięłam głęboki oddech i przymknęłam oczy, po czym ponownie spojrzałam na mamę;

zobaczyłem łzę w kącie jej oka. Siedziałyśmy w samochodzie, nie mogła odwrócić głowy, ukryć tego przede mną, uciec, jak zawsze, ilekroć zaczynałyśmy rozmawiać o ojcu.

- Czekam na twoją odpowiedź, Mariah. - Wciąż nie odrywała oczu od drogi.

Ponownie wzięłam głęboki oddech.

- Jego powrót to dla mnie najważniejsza rzecz w życiu - odparłam spokojnie.

Mama odprężyła się.

- Tego wieczoru, kiedy stary Jim opowiadał o swojej żonie, przypomniało mi się stare powiedzenie: przebac i zapomnij. Twój ojciec zranił mnie, zranił mnie bardzo, w sposób, który dopiero zaczynasz rozumieć.

Nie wiem, czy potrafię, ale chcę, będę próbowała mu przebaczyć. - Nie hamowała już łez.



Zwolniła i ostrożnie wjechała na parking. Wyciągnęła chusteczki z torby, zdjęła okulary słoneczne i zaczęła ocierać łzy.

- Z jego nogą jest już znacznie lepiej. Ma przyjechać do Laguna Beach. Rozmawiał z towarzystwem ubezpieczeniowym, w którym pracował. Mógłby wrócić na to samo stanowisko, co przed...

- To wspaniale, mamó. - Podniecona perspektywą zobaczenia ojca. na chwilę zapomniałam o Paulu.

- Nie chcę ci robić żadnych nadziei, jeszcze za wcześnie, i nie chcę, żebyś mówiła cokolwiek Kim. Potrzebuję czasu. Muszę mieć pewność, że podejmuję słuszną decyzję.

- Cokolwiek postanowisz, będę z tobą, mamó - powiedziałam głaszcząc ją po ramieniu.

Wiedziałam, że niełatwo przyjdzie jej zapomnieć o przeszłości, ale byłam pewna, że czas zaleczy rany i że w końcu mama zgodzi się na powrót ojca, chociaż blizna zostanie. Tak bardzo chciałam jej pomóc, ale dźwięczały mi w uszach napomnienia Paula, że bym nic nie robiła. Pamiętałam, jak mówił, że to musi być jej decyzja. Wszystko się w końcu ułoży.

Wiedziałam to.

Wyjechała z powrotem na autostradę.

## ROZDZIAŁ 23

Wyskoczyłyśmy z Kim z samochodu, zanim mama zdążyła zgasić silnik. - Wypakujcie swoje rzeczy! - krzyknęła za nami. Gretelowie wyjechali poprzedniego wieczoru. Czerwone róże w złocistym wazonie na stole w jadalni były jeszcze świeże. Mama wyjęła z koperty bilecik. „Dziękujemy za wspaniałe lato. Zakochaliśmy się w Waszym domu. Gretelowie”.

Zanurzyła twarz w kwiatkach rozkoszując się ich słodkim zapachem. - Jak to miło z ich strony - powiedziała.

Pobiegłam na górę do swojej sypialni. Na komodzie leżała złożona wpół kartka. Chwyciłam ją i usiadłam na łóżku. Dobrze było być znowu w domu, we własnym pokoju, chociaż teraz wszystko wydawało się jakieś mniejsze. To, dlatego, że rezydencja Abbottów była taka ogromna.

*Droga Mariah.*

*Będzie mi brakowało tego domu. Twojego pokoju i cudownego oceanu. Będę tęskniła za Twoją skałą, na której spędziłam wiek samotnych godzin, wsłuchując się w szum fal. Chociaż nie mogę się już doczekać początku roku szkolnego, żałuję, że lato minęło tak szybko: tal mi wyjeżdżać z Waszego pięknego domu. Będzie mi brak Twoich pięknych listów. Życzę ci wszystkiego najlepszego*

*Oddana Ci Elaine Gretel*

Zasypiając tego wieczoru, myślałam o Paulu. Zastanawiałam się, co robi, pragnęłam być koło niego. Kiedy do pokoju zajrzała mama, spałam już mocno, ciągle trzymając list Elaine w dłoni.

## ROZDZIAŁ 24

Obudziły mnie złociste promienie słońca zalewające moją sypialnię. Białe - żółte zasłony powiewały targane rześkim wiatrem od morza.

Pilno mi było pobiec na moją skałę, przywitać się z oceanem, zanurzyć stopy w chłodnej wodzie i wilgotnym piasku.

Kiedy po południu spotkałam się z Amy, zdumiał mnie jej wygląd. Schudła o jakieś pięć kilo. - Mariah, Mariah, tak się cieszę, że wreszcie wróciłaś. - Patrzyłam na nią i nie mogłam się nadziwić. Tak bardzo się zmieniła. Na dodatek miała kręcone włosy. - Pojechaliśmy z tatą do jednego uzdrowiska, a w urodziny zabrał mnie do salonu piękności i zrobiłam sobie trwałą - mówiła radośnie, kiedy szliśmy przez łąkę Talbotów. Położyliśmy się w wysokiej trawie i przyglądałyśmy się sobie. - Nie mogę uwierzyć. Wyglądasz wspaniale, jesteś taka szczupła. Masz świetne włosy. Uśmiechnęła się.

- W przyszłym tygodniu mam mieć dobrane szkła kontaktowe. Mama mnie zapisała. Pomyśl, będę mogła wyrzucić okulary. - Jej radość była zaraźliwa. Patrzyłyśmy na siebie i uśmiechałyśmy się szeroko.

- Dlaczego nie napisałaś do mnie, ty zaraz? - spytała. - Nie przysłałaś nawet kartki. Ja wysłałam do ciebie sześć!

- Przepraszam, zapomniałam wziąć twój nowojorski adres. Poza tym byłyśmy strasznie zajęte. Trzeba było dbać o dom, robić zakupy, wiele czasu spędzałam w bibliotece... A poza tym był Paul. - Bardzo chciałam zachować w tajemnicy znajomość z Paulem, ale zwyciężyło pragnienie pokazania Amy, jak bardzo dorosłam.

Usiadła i wyjęła z włosów jakieś źdźbła. Jak powiedzieć Amy, że przekonałam się, iż chłopcy nie są wcale tacy straszni - niektórzy, prawdę

mówiąc, są fantastyczni. - Kto to jest Paul? - zapytała.

- Chłopak, którego poznałam - powiedziałam obojętnie. - Bardzo miły. Zabierał nas w różne ciekawe miejsca, których sama nigdy bym nie odkryła. - Zobaczycie się kiedyś jeszcze? - zainteresowała się Amy, żując źdźbło trawy.

- Och, tak. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i...

- Chcesz powiedzieć, że jest twoim chłopakiem? - Amy zrobiła wielkie oczy.

Trudno mi było powiedzieć, czy zrobiło się jej przykro, czy się ucieszyła, czy po prostu była zaszokowana. Nie byłam pewna, czy mnie zrozumie, więc nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Tak. tyle tylko, że Paul jest teraz chory. Musi zostać przez jakiś czas w szpitalu.

- Och. - W jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie. - No, ale kiedy wyzdrowieje, będziesz mogła pojechać go odwiedzić. Palm Springs nie jest tak daleko.

- Wiem. - Postanowiłam zachować złe wieści na inną okoliczność. Na razie nie było powodu mówić o czymkolwiek. Nie było powodu opowiadać, że może upłynąć bardzo wiele czasu, zanim Paul wydobrzeje, albo, że może nigdy nie wrócić do zdrowia. Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie był to szczery uśmiech.

Amy nie pytała o nic więcej i byłam za to wdzięczna. Podniosłyśmy się i ruszyłyśmy w kierunku jej domu.

- Chciałabym ci pokazać mój pokój - powiedziała. Mama wróciła z Iowa wcześniej, niż się spodziewała, i postanowiła zrobić mi niespodziankę. Urządziła wszystko na nowo. Wyrzuciła dziecinne meble.

Teraz mam takie zielono - niebieskie. Jest fantastycznie.

Poszłam z nią na górę.

- Może wybrałybyśmy się dzisiaj wieczorem do kina - podsunęłam. -  
Mogłabym wziąć samochód. - Uświadomiłam sobie, że chcę wypełnić  
czymś czas, żeby nie myśleć o Paulu.

Pod drzwiami sypialni Amy odwróciła się raptownie.

- Przykro mi, Marian, ale umówiłam się na randkę. W zeszłym  
tygodniu, kiedy wróciłam z Nowego Jorku, poznałam chłopaka. Nazywa  
się Kirk Bentley. Idę z nim dzisiaj do kina.

Może jednak Amy zrozumie, co zdarzyło się między mną i Paulem,  
pomyślałam.

Z uśmiechem weszłam do jej nowiutkiej sypialni. Wyglądała teraz  
jak pokój nastolatki, a nie sypialnia małej dziewczynki, wypełniona dotąd  
dziecinnymi rzeczami. Obydwie miałyśmy niesamowite lato. Zabawne, ile  
się może zmienić przez dwa krótkie letnie miesiące, kiedy człowiek  
kończy szesnaście lat...

## ROZDZIAŁ 25

Jesień mijała szybko pośród codziennych zajęć. Rodzice widywali się od czasu do czasu, ale mama działała powoli i nie chciała na razie podejmować ostatecznej decyzji. Cieszyłam się bardzo, mając ojca znowu w Laguna. Wynajął małe mieszkanie w pobliżu swojego biura; ja i Kim zostawałyśmy tam czasami na noc. Z początku było nam trudno nadrobić dwa stracone lata, ale staraliśmy się poznać się na nowo, dowiedzieć jak najwięcej o sobie nawzajem. Pewnego wieczoru opowiedziałam mu nawet o Paulu i miałam wrażenie, że doskonale zrozumiał ból i radość, których doświadczałam.

Przed Świętem Dziękczynienia było mnóstwo krzątania, pomagałam mamie w przedświątecznych przygotowaniach. W sklepach w Laguna Beach zaczęły się już pojawiać towary na Boże Narodzenie.

Pojechałam z mamą po indyka. Kupiłyśmy też słodkie ziemniaki na nadzienie, kapustę na surówkę i różne słodkości do pieczonej dyni. Powietrze było rześkie, nieco zimne, jak na tę porę roku, spojrzałam na ośnieżone szczyty gór - przypominały baby świąteczne polane lukrem. Woda w oceanie nadal była umiarkowanie ciepła, ale było mi smutno, że pociemniała w tym roku tak wcześnie.

Pierwsza klasa ogólniaka nie była taka straszna, jak sobie wyobrażałam; ani ja. ani Amy nie miałyśmy kłopotów z nauką. Spotykała się z Kirkiem Bentleyem i wydawała się bardzo szczęśliwa. Ja, kiedy tylko miałam chwilę wolnego czasu, pisałam do Paula do Teksasu. Odpisywał raz w tygodniu. Przechodził rozmaite kuracje i badania. Nazywał to „eksperymentami”. On też miał zajęcia.

*...Zawożą nas na wózkach do dużej sali, gdzie spotykamy się z*

*naszymi instruktorami - pisał. - Rodzice przywieźli mi mnóstwo książek i ucze się więcej, niż gdybym studiował normalnie, w każdym razie wszyscy mi to ciągle powtarzają. Czuję się trochę lepiej. Chyba powinienem, zważywszy na to, co ze mną wyprawiają. Bardzo za Tobą tęsknię, Mariah. Gdybyś tu przyjechała, byłoby mi znacznie łatwiej znieść pobyt w szpitalu, ale lepiej chyba poczekać ze spotkaniem do mojego powrotu do Palm Springs. Mają mnie podobno wypuścić po świętach Bożego Narodzenia, w pierwszej połowie stycznia. Podśluchałem, jak lekarze mówią o tym między sobą. Ciągle nastawiam uszu, bo chcę wiedzieć, co się dzieje. W końcu rozmawiają o mnie. Pamiętasz ten dzień, w którym pokazałem Ci rezerwat? Myślę, że już wtedy Cię kochałem.*

Skrupulatnie prowadziłam dziennik, tak jak radził mi Paul. Mniej więcej raz w tygodniu pisałam do Elaine i dostawałam list od niej. Zwierzyłam się jej, że zostałam zastępcą redaktora gazetki szkolnej. Byłam z tego bardzo dumna. Romanse poszły w ką. Zapakowałam je do pudełek i wyniosłam do garażu. Zajęcia w szkole, prowadzenie dziennika, korespondencja, gazetka szkolna - wszystko to sprawiało, że moja książka musiała jeszcze poczekać.

## ROZDZIAŁ 26

*22 listopada, Święto Dziękczynienia*

*Droga Mariah,*

*Jak zapewne już zauważyłaś, to nie mój charakter pisma. Pisze za mnie Pearl, wolontariuszka na naszym oddziale. Po kroplówce, którą dostałem wczoraj, boli mnie prawa ręka. Ale postanowiłem odezwać się do Ciebie, bo chcę Ci powiedzieć, że czuję się lepiej. Tak. lepiej!*

*Wspominasz w swoim ostatnim liście, że mama chce Ci dać pieniądze na samolot do Houston i że mogłabyś przylecieć tutaj na święta. Nie rób tego, proszę. To znaczy, chcę Cię zobaczyć, ale dopiero kiedy już całkiem wydobrzeję. Proszę zrozum, jak bym się czuł. Chcę wyglądać świetnie, kiedy się znów zobaczymy.*

*Obudziłem się ostatniej nocy i poczułem nagły przyływ sił. Od dawna nie czułem się tak dobrze - od chwili, kiedy mnie tutaj położyli. Rozmawiałem dziś rano z doktorem Shue, a on tylko się uśmiechnął. Może ukrywa przede mną jakiś sekret, ale nie mogę przyciskać go do muru.*

*Potem pojawili się rodzice. Wynajęli tutaj mieszkanie. I oni się uśmiechnęli, kiedy im powiedziałem, jak dobrze się czuję. Lekarze torturowali mnie różnymi kuracjami. Może znaleźli w końcu coś, co mnie wyleczy. Zdarzały się już tutaj podobne cuda w przypadkach podobnych do mojego.*

*Próbowałem pisać sam, ale jak już mówiłem, boli mnie prawa ręka. a lewą nie potrafię. Pearl zapewnia mnie, że i tak nie miała nic lepszego do roboty.*

*Zjedliśmy obiad świąteczny tutaj, w szpitalu. Było wspaniale jak nigdy. Niektórzy mówią, że święta w szpitalu są okropne, ale jak tak nie*



*myślę. Mnóstwo pacjentów wyszło na przepustki, więc wszyscy tym bardziej troszczą się o tych, którzy zostali.*

*Żal mi wielu z tych, którzy wyjechali. Są wśród nich tacy, dla których lekarze nie są już nic w stanie zrobić, więc wypisują ich, żeby mogli umrzeć w domu. Myślę, że to najlepsze miejsce, kiedy nadchodzi śmierć.*

*Ale wracając do pogodniejszych tematów, lak bardzo się cieszę, że między Twoimi rodzicami zaczyna się układać. Mam wrażenie, że znam już Twojego ojca. Pamiętasz, jak mi o nim opowiadałaś i o tym, że uwielbiał grać w lokalnym teatrze? Spodobała mi się bardzo Twoja opowieść o Paint Your Wagon i o imieniu Mariah wziętym z jednej z piosenek.*

*Nie chcę, żebyś odwiedzała mnie tutaj. Poczekaj, aż zupełnie wyzdrowieję, a na to się zanosí. Poczekaj, aż przybiorę trochę na wadze i odrosną mi włosy. Chciałbym spotkać się z Tobą w jakimś znajomym miejscu - może u mnie, a może ja przyjechałbym do Ciebie, poznał Twojego ojca, usiadł w Tobą na Twojej skale. W końcu ja swoją Ci pokazałem.*

*Kocham Cię*

*Paul*

*Drogi Paulu,*

*Bardzo za Tobą tęsknię. Trochę mi przykro, że nie chcesz, bym odwiedziła Cię w Teksasie, ale stanie się, jak Ty sobie życzysz. Poza tym może będziesz w domu wcześniej niż myślisz, a wtedy natychmiast przyjadę do Palm Springs.*

*Tata spędził Święto Dziękczynienia z nami. Było cudownie, bardzo rodzinnie. Czuję w głębi serca, że dom Johnsonów będzie znowu taki jak*

*dawniej. Wiem to!*

*Mama mówi, że przygotowuje dla mnie wspaniały prezent na Gwiazdkę. Nie mogę się już doczekać, ale Ty wiesz. Że najlepszym prezentem byłoby spotkanie z tobą.*

*Kocham Cię*

*Mariah*

## ROZDZIAŁ 27

W południowej Kalifornii nie ma białych świąt Bożego Narodzenia. W grudniu pojawia się trochę śniegu w górach i surfując po oceanie można dojrzeć go na szczytach. Zawsze marzyłam, by obudzić się w święta i zobaczyć za oknem śnieg.

W Wigilię poszliśmy całą rodziną do kościoła na wzgórzu. Mama trzymała ojca za rękę. kiedy śpiewaliśmy kolędy. Było tak. jakby tata nigdy od nas nie odszedł. Wiem, że wszystko dobrze się skończy, zamknie się dwuletni rozdział i nikt nie będzie już wracał do przeszłości. W świąteczny poranek mama postawiła przede mną duże kartonowe pudło. - Ostrożnie, to jest kruche.

W pierwszej chwili myślałam, że to żart, ale Kim zaczęła podskakiwać z podniecenia. - Ja wiem, ja wiem, co tam jest, ja wiem - piszczała.

- Gratulacje, kochanie, myślałam, że nie dotrzymasz sekretu - pochwaliła ją mama. Wyjęła z większego pudła mniejsze i postawiła przede mną na stole. Napis powiedział mi wszystko. Maszyna do pisania! Nie mogłam uwierzyć. Elektryczna przenośna maszyna do pisania.

Mama uśmiechnęła się szeroko.

- Och, mamó. Nie wierzę. Jesteś niesamowita. - Rzuciłam się jej na szyję. W pudle była brązowa walizeczka. Otworzyłam ją - i oto ona.

Delikatnie naciskałam klawisze; zapach nowości wypełniał nozdrza niczym perfumy. - Mam nadzieję, że ci się spodoba. Gdybyś chciała jakiś inny typ, wymienię ją - powiedziała mama głaszcząc mnie po włosach.

- Nie waż się jej tknąć. - Zasłoniłam maszynę całym ciałem. - Jest cudowna. Nie zamienię jej na żadną inną.

Przeskakując po dwa stopnie pognałam z maszyną do swojego pokoju. Moje biurko zaczynało przypominać miejsce pracy pisarki. Słownik, kilka czasopism literackich kupionych w księgarni w Laguna Beach i ryza papieru czekały, kiedy z nich skorzystam. A teraz, dla dopełnienia obrazu, prawdziwa maszyna do pisania.

Wsunęłam kartkę w wałek i nacisnęłam przełącznik. Napisałam Drogi Paulu. Zaczęłam. Pisałam, pisałam, a maszyna mruczała cichutko.

Nie słyszałam dzwonka telefonu, kiedy wymykałam się z domu. Na szczycie wzgórza była skrzynka pocztowa; jak najszybciej chciałam wysłać list do Paula.

Ostatnią pocztą, jaką dostałam od niego, była kartka na Boże Narodzenie; postawiłam ją na komodzie, tak by widzieć ją codziennie zaraz po przebudzeniu. Nie było listu, nawet krótkiej notki - tylko kartka świąteczna. Paul skreślił raptem trzy słowa i podpisał się. Z trudem rozpoznałam jego pismo; litery wyglądały tak, jakby stawiał je starzec.

Kartka przedstawiała ośnieżone świerki. Małeńkie ptaki ze złotymi i srebrnymi wstęgami w dziobach stroiły drzewa.

Nadruk wewnątrz mówił: „Z miłością w tym najbardziej wyjątkowym ze wszystkich dni”.

Poniżej Paul napisał trzy słowa: Wspomnij mnie czasami... i podpis.

- Och, tak bym chciała, żeby Paul tu był i zobaczył moją maszynę - powiedziałam do mew, które zbierały się w grupki na plaży. Wspięłam się na swoją skałę, stanęłam na szczycie i patrzyłam na ocean. Był chłodny, rześki dzień. Cieszyłam się świętami.

Spojrzałam w stronę domu, zobaczyłam mamę wychodzącą bocznymi drzwiami. W pierwszej chwili pomyślałam, że idzie do

samochoду, że zamierza jechać do sklepu, dokupić coś na obiad. Ale nie, szła z boczem wzgórza w moim kierunku. Wyglądała tak, jakby płakała.

- Hej! - zawołałam radośnie. - Pozwolę ci usiąść na mojej skale, jeśli chcesz.

- Muszę z tobą porozmawiać, Mariah - powiedziała wspinając się ku mnie.

Usiadłyśmy ramie przy ramieniu, wiatr targał mi włosy; zimny wiatr, mimo że słońce świeciło jasno. Plaża była wyludniona, ludzie siedzieli w domach, otwierali prezenty, bawili się nowymi zabawkami, oglądali nowe gry komputerowe.

- Wyglądasz smutno. - Wyciągnęłam do mamy dłoń. - Wszystko w porządku? - zapytałam z drzeniem w głosie. Nagle poczułam, że stało się coś strasznego.

- Paul - powiedziała mama. - Bóg widzi, jakie to dla mnie okropne, że ja ci to muszę powiedzieć. Pan Strobe zadzwonił, kiedy wysłaś wrzucić list do skrzynki. Paul umarł... dziś rano. Umarł w domu, w Palm Springs.

Umarł, kiedy ja jeszcze spałam. Śniłam o cudownych świętach. Umarł, a ja nawet nie poczułam, że odchodzi. Wysłali go na Boże Narodzenie do domu. Był jednym z tych pacjentów, których wypisywali, nic już nie mogąc dla nich zrobić...

Pomyślałam o jego kartce. Nie przyszło mi do głowy, by spojrzeć na stempel i adres zwrotny.

Wysłał ją z domu. I te słowa: „Wspomnij mnie czasami”. Tamtego dnia w górach powiedział, że człowiek żyje tak długo, jak długo ktoś go wspomina. Prosił, bym zrobiła to samo dla niego. Nigdy cię nie zapomnę.

Paul, przysięgam!

Wiatr znowu zmierzwił mi włosy, ostry, przenikliwy. Spojrzałam na mamę i pomyślałam, że jest nierealna. Musiałam wyobrazić sobie to wszystko. Objęła mnie i przytuliła. Miałam szeroko otwarte oczy. Wiedziałam, że jeśli zacznę płakać, nie będę mogła przestać.

## ROZDZIAŁ 28

Słaby odgłos kolęd przenikał przez zamknięte drzwi mojego pokoju. Leżałam w ciemnościach, na przemian wstrzymując oddech i łapiąc gwałtownie powietrze. Robiłam wszystko, byle tylko nie zacząć płakać.

Przez uchylone drzwi wdarła się smuga światła z przedpokoju.

- Nie śpisz? - zapytała mama, po czym nachyliła się nade mną i odgarnęła mi włosy z twarzy. - Nie powinnaś leżeć tutaj sama. Mariah.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedziałam, wtulając twarz w poduszkę. - Rozumiem, ale ja chcę rozmawiać z tobą, i porozmawiam. Naciągnęłam kołdrę na uszy, ale nadal słyszałam jej głos.

- Chciałabym, żebyś pomyślała o innych, którzy też cierpią. O matce i ojcu Paula. To największa strata w ich życiu. Jediną pociechą jest dla nich teraz myśl, że mogli nigdy nie mieć dziecka. A jednak Bóg dał im je i pozwolił cieszyć się nim przez osiemnaście lat. O ile to lepsze niż nic.

Siedziałyśmy w ciemnościach. Myślałam o pani Strobe. Tak bardzo próbowała ustrzec swojego syna od choroby. Pan Strobe, przez cały czas zachowujący uśmiech, łagodny, wytworny pan Strobe, dzielący się ze mną Pauliem w jego ostatnich miesiącach. - Chciałabym, żebyś pomyślała też o Paulu, tak, o Paulu. Co by pomyślał, widząc cię kryjącą się tutaj, w ciemnościach. Tak bardzo, bardzo kochał życie. Nie sprawiaj mu teraz zawodu. Myślałam o Paulu i napięte mięśnie twarzy zaczęły się rozluźniać. Myślałam o jego jasnych włosach, cudownym uśmiechu, błękitnych jak letnie niebo oczach, o dniu, kiedy siedzieliśmy na jego skale.

Oczy mi zwilgotniały. Łzy zaczęły cisnąć się do oczu, wreszcie popłynęły po policzkach. Usiadłam na łóżku i spojrzałam na mamę, ledwie

widząc ją poprzez łzy. - Mamo, mammo, tak strasznie będzie mi go brakowało... Objęła mnie mocno.

- Dlaczego moja historia, ta prawdziwa, nie może mieć szczęśliwego zakończenia... jak w książkach? - Łzy wreszcie płynęły, długo wstrzymywany potok łez.

- Żadna prawdziwa miłość nie ma szczęśliwego zakończenia - powiedziała, gładząc mnie delikatnie po głowie. - Jedno zawsze umiera wcześniej i zostawia drugie. Nigdy nie ma prawdziwego happy endu. Dobrze, że wreszcie płaczesz. Widzisz, człowiek musi płakać, ale ty płaczesz nad sobą, nad tym, co straciłaś. Teraz zbierz się i zrób coś dla Paula. Nie bez powodu pojawił się w twoim życiu. Teraz zbierz się i znajdź ten powód. Mariah. Wiem, że potrafisz.



## ROZDZIAŁ 29

Rankiem drugiego stycznia do kuchennych drzwi zapukała Amy. - Hej. Jak święta? Brakowało ci mnie? - zapytała. Nie wiedziała nic o Paulu, a mnie coś mówiło, że nie jest to właściwa chwila, by jej o nim opowiadać. Otworzyłam siatkowe drzwi i wpuściłam ją do środka. - Nie sądziłam, że wróciłaś już z Pasadeny, mówiłaś, że czwartego...

- Mama spodziewa się gości ze Wschodniego Wybrzeża - oznajmiła i wzięła jabłko z patery stojącej na stole. - Pozwolisz? Przerzucam się z pączków na owoce. - Ależ jedz. Co dostałaś pod choinkę?

- Nowe ciuchy. Teraz albo utrzymam wagę, albo nie będę mogła się w nie wcisnąć - powiedziała ze śmiechem. - A Ty?

- Najwspanialszy prezent na świecie. Chodź na górę, to ci pokażę. Amy zobaczyła ją ledwie przekroczyła próg mojego pokoju.

- Och, Mariah, cudowna, naprawdę cudowna - zachwycała się dotykając gładkich klawiszy. Zrobiła krok do tyłu, znowu podeszła. - Ale z ciebie szczęściara! - Tak - przytaknęłam. - Zawsze marzyłam o czymś takim.

Amy nie była jeszcze po wakacjach w moim pokoju. Podeszła do toaletki, poprawiła włosy i wtedy spostrzegła.

- Co ta naklejka na zderzak robi na twoim lustrze? - zapytała wskazując na żółty znaczek. - Wiem, że to cliche, ale Paul chciał, żebym przykleiła ją gdzieś, gdzie będę ją codziennie widziała, no i przykleiłam. Amy znowu podeszła do mojej maszyny.

- Naprawdę zaczynasz pisać! - wykrzyknęła, nachylając się nad kartką wkręconą w wałek. Właśnie wystukałam tytuł, kiedy zapukała do drzwi. - „P.s. Kocham cię” - przeczytała powoli i zaśmiała się. - Jakie to

słodkie, Palm Springs, kocham cię. Będę mogła przeczytać? - Jak skończę.  
Złapała swój sweter.

- Muszę już lecieć, Mariah. Mama mnie zabije. Powiedziałam, że wychodzę tylko na chwilę. Powinnam pomóc w domu.

Odprowadziłam ją na dół i pomachałam na pożegnanie, gdy zbiegała po zboczu wzgórza, po czym powoli zamknęłam siatkowe drzwi. Amy nie powinna wiedzieć, że tytuł oznaczał: Paulu Strobe, kocham cię. To miał być sekret mój i Paula - na zawsze.